Nr. 3 (1047). Warszawa, dnia 6 (19) Stycznia 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

W CIĄGU STU LAT.

Królestwo Kongresowe w r. 1816 liczyło 2,732,000 mieszkańców, według zaś ostatniego spisu, dokonanego w r. 1897, ludność wzrosła do 9,456,000. Wzrost ten zresztą nie odbywał się prawidłowo, tj. z roku na rok, lecz miewał lata zastoju, nawet cofania się wstecz. W końcu r. 1831 liczono o 400 tys. głów mniej, niż w r. 1829, epidemie w latach 1847—56 wywołały podobny, choć nie tak rozległy skutek. Ale jakiemibądź szedł on drogami, ku końcowi stulecia wydał rezultat odrazu rzucający się w oczy: ludność w ciągu lat 1816—1897 powiększyła się 3,5 razy! Już ta liczba, bez dalszych komentarzy, zawiera w sobie wskazówkę, iż w naszym bycie codziennym musiały odbyć się głębokie zmiany: napięcie sił wytwórczych, stosunek gruntów ornych do lasów i nieużytków, rozmieszczenie ludności i jej podział na odrębne grupy interesów, obfitość w kraju dróg komunikacyjnych oraz środków porozumiewania się, wszystko to uledz musiało zupełnemu przełomowi.

Istotnie, dość okiem rzucić na jakąkolwiek dziedzinę życia codziennego w ciągu ostatniego stulecia, ażeby wszędzie spostrzedz silne parcie naprzód.

Warszawa, ognisko życia umysłowego, którego rzutkość jest i musi być w stosunku dość bezpośrednim do liczby mieszkańców, liczyła w r. 1816 zaledwie 81,000 głów, tj. byłaby dzisiaj w Europie trzeciorzędną, a nawet czwartorzędną mieściną. Wzrost jej w pierwszej połowie wieku posiada, tak samo jak kraj cały, okresy zastoju i upadku, ale od lat 40 stale podąża w kierunku postępowym. W r. 1864 Warszawa zawierała w murach swoich 222,000 dusz, według ostatniego spisu liczyła już 638,000, tj. w okresie lat 1816—1897 powiększyła się niemal osiem razy. I jeśli poprzednia cyfra ogólnego wzrostu zaludnienia w całem Królestwie kryje w sobie cały przełom wytwórczy, to ostatnia dostarcza wskazówki jeszcze rozleglejszej: stawia ona przed nami zjawisko potężnej koncentracyi miejskiej, odbywającej się przeszło dwa razy szybciej, aniżeli przyrost ogólnej cyfry zaludnienia. Proces ten zwłaszcza zarysowywa się mocno w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Dość porównać liczby z lat 1856—1897, dotyczące wzrostu ludności wiejskiej i miejskiej:

wzrost zaludnienia w całym kraju	. . . .	199%
„ „	w osadach i miastach .	252 „
„ „	w 114 miastach . . .	304 „
„ „	w Warszawie	400 „

Ale cyfry te — to tylko nagi szkielet, pozbawiony jeszcze krwi i mięsa. Rozwój życia miejskiego szedł nierównomiernie w oddzielnych dzielnicach kraju. Powiaty północne i północno-wschodnie opóźniają się w swoim rozwoju. Przemysł sadowi się przeważnie w kącie południowo-zachodnim kraju, tam, gdzie w niebo strzelają setkami kominy fabryczne Łodzi i okręgu tkackiego, lub gdzie istniały bogactwa naturalne. Łódź, Sosnowiec, Częstochowa rosną szybciej, niż Warszawa, a miejscowości, mało znane przed laty 30—40, dzisiaj rozbrzmiewają gwarem przemysłowym. Warszawa stała się wielkiem ogniskiem handlu przewozowego, pośredniczącem pomiędzy rynkami wschodnimi a Europą zachodnią i odjęła częściowo dawne znaczenie jarmarkowi niżno-nowogrodzkiemu. Ale handel jeszcze nie wywołuje przewrotu w stosunkach życia codziennego, sprawia go dopiero przemysł przetwórczy. Obrał on sobie u nas siedzibę głównie w gub. Piotrkowskiej i stamtąd oddziaływa na inne dzielnice. To przemieszczenie ognisk sił wytwórczych kraju, a z niemi także ognisk życia codziennego, industryalizacya pewnych okolic, a nietknięcie innych, przedstawiają prawdopodobnie najcharakterystyczniejszy objaw w naszym dorobku zeszłowiekowym, a raczej drugiej połowy stulecia XIX. Kraj został zróżniczkowany, oblicze duchowe i społeczne jego pojedynczych dzielnic wygląda odmiennie, a że różnice nie wzrastają zbyt rozbieżnie, zawdzięczać to należy oddziaływaniu zagranicznych ognisk życia, stwarzających w gub. Płockiej i Suwalskiej wędrówkę za zarobkiem, znaną pod nazwą obieżysastwa. Powstały okręgi przemysłowe, a wraz z nimi warstwy, nieznane dawniej w kraju naszym: żądne wiedzy, ruchliwe, postępowe. Okręgi przemysłowe z jednej strony, obieżysastwo i wychodźtwo za morze z drugiej — oddziaływać zaczęły także na duchowość ludności wiejskiej, tej — nietylko u nas, ale wszędzie — najbardziej zakrzepłej w rutynie warstwy. O tym wpływie mówi nieustannie nasza prasa prowincyonalna. Pozwolimy sobie przytoczyć jeden z tych głosów: „W powiecie naszym (Łęczyckim) nieustannie ujawnia się opuszczanie siół dla poszukiwania zarobków w pobliskiej Łodzi. Szczególnie młodzież ciągnie do tego Edenu, w którym życie nie ściele się znów na różach. Niestety, dziś zapanowała po wsiach jakaś niechęć do roli, jakiś wstręt do sukmany, którą parobcy z chwilą przybycia do miast natychmiast zamieniają na kusą kurtkę, kapelusz - czapkę dziwnego fasonu i palą „cygarza,“ który im sprawia krztuszenie się, a często sprowadza mdłości, wchłaniają w siebie dym szkodliwy, bo to po miejsku i modnie. Dziewczęta znowu, przebywające tam na służbie, emancypują się jeszcze prędzej od parobków, a włożywszy na głowę kapelusz z piórem lub jakimś jaskrawym kwiatem, prędzejby się do zbrodni przyznały, niż do tego, że ze wsi pochodzą.“ Autor korespondencyi spostrzegł tylko to, co zobaczyć mu pozwolił jego stopień wykształcenia. Ale pod kapeluszami na głowie ukrywa się kontrabanda nowych idei, pożądań, widnokręgów, a przedewszystkiem wzrost ciążenia pewnych warstw wiejskich ku kulturze miejskiej i poddawanie się jej wpływom wszelkiego rodzaju, niekiedy ujemnym, ale niemniej często dodatnim.

Kto inny ma przedstawić wzrost przemysłu i rolnictwa w naszym kraju w ciągu ubiegłego wieku. To mnie zwalnia od zatrzymywania się nad tym punktem. Poprzestanę tylko na paru uwagach. Ukazanie się wielkich ognisk przemysłu i usadowienie się w nich 22% całej ludności (w gub. Warszawskiej 41% jej zaludnienia, w Piotrkowskiej 36%) — a nawet więcej, bo cyfra powyższa ogarnia jedynie mieszczan i pozostawia na uboczu zagłębie

dąbrowieckie, — sprawiło, iż nasze stosunki rynkowe zupełnie się przekształciły. Przemysł przetwórczy wytwarza dla dalekich rynków. I pomyślność ziemiaństwa zaczyna coraz bardziej zależeć od stosunków, leżących po za obrębem bezpośredniego otoczenia. Że kraj nasz z rolniczego staje się przemysłowym, o tem chyba wszyscy doskonale wiemy. Ale nie dość tego, bo zmiany zaszły jeszcze dalej. Znajdujemy się w przededniu okresu, kiedy nasze własne ziemiopłody zaledwie zdołają zaspakajać potrzeby rynku krajowego, upostaciowanego w okręgach przemysłowych i miastach, a nawet będziemy zmuszeni pokrywać je dowożonymi produktami. P. Wł. Żukowski w swoim bilansie handlowym Królestwa pisze: „Królestwo przestało być krajem eksportującym, a stało się przywożącym zboże. Jest to naturalne i konieczne następstwo rozwoju stosunków ekonomicznych. Stwierdzając fakt, winniśmy z niego wysnuć pewien praktyczny wniosek. Utraciwszy swoje stanowisko w międzynarodowym handlu zbożowym, Królestwo nie przestało przez to być krajem rolniczym i naturalnie interesy rolnictwa krajowego powinny być u nas po dawnemu podstawą wszelkich programów ekonomicznych. Ale właśnie dlatego, że handel zbożowy zewnętrzny przedstawia już obecnie dla naszego rolnictwa daleko mniej interesu, niż przed laty dwudziestu, dlatego właśnie dotychczasowe poglądy na stosunki handlowe międzynarodowe i na traktaty celne winny uledz zmianie. Pogląd na szczególniejszą szkodliwość pruskich ceł zbożowych dla gospodarstwa społecznego w Królestwie był u nas dotychczas bardzo upowszechniony... Cyfry, wykazujące, iż przeciętna wartość wywozu zbożowego za granicę nie przewyższa 5 mil. rubli rocznie, cyfry te wymownie świadczą, że w gruncie rzeczy pruskie cła zbożowe nie mają dla rolnictwa w Królestwie szczególnie doniosłego znaczenia; że ważnym jest dla rolnictwa krajowego nie tyle rynek zewnętrzny, ile wewnętrzny i że w interesie krajowym leży nie tyle reforma taryf celnych, ile reforma taryf kolejowych (dla dowozu zboża z Cesarstwa). W tym więc kierunku powinna zorganizować się akcya, mająca na celu obronę interesów rolnictwa krajowego." Nie będziemy zastanawiali się, o ile słusznemi są twierdzenia autora *Bilansu* dla doby obecnej, ale ani chwili nie powątpiewamy, iż właśnie w tym kierunku idzie cały rozwój przemysłowy w naszym kraju. W każdym razie trafnie zaznacza on tendencyę na przyszłość. Prędzej lub później, codzienne interesy ziemian każą im spoglądać na reformę taryf kolejowych jako na główny punkt programu ziemiańskiego, a wraz z tem punkt ciężkości ich aspiracyj i zapobiegliwości zostanie umieszczony gdzieindziej, niż dotychczas.

Wszystko są to doniosłe zmiany nietylko w stosunkach materyalnych, ale i w obliczu duchowem naszego kraju. Jeśli zestawimy je z całą powodzią wpływów kulturalnych, stosunków ekonomicznych itd., wiążących nas z innymi narodami, to ogół przekształceń da się streścić w twierdzeniu, iż coraz mniej żyjemy zasobami materyalnymi i ideowymi własnego, bezpośredniego otoczenia. Gdybyśmy przed setką lat pomiędzy sobą a resztą narodów wznieśli mur, odgradzający nas od pozostałego świata, niewątpliwie zostalibyśmy wtedy zubożeni pod względem umysłowym. Ale skutki ujemne nie wybiegałyby zbytnio po za tę sferę. Żyliśmy wtedy życiem rozstrzelonem, naturalistycznem, wiejskiem. Miasta nie wywierały wpływu, były one raczej dodatkiem wsi i z niej czerpały natchnienie swoje, nawet cała sztuka i poezya ówczesna nosi na sobie charakter ziemiański. Między oddzielnemi częściami kraju nie było przedmiotowego spoidła podziału pracy, ani obecnych węzłów komunikacyjnych, a na dobre istniała tylko jedna arterya ruchu przemysłowego, łącząca nas z dalszym światem, Wisła. Zamknięcie zupełne granic sprawiłoby zamęt w kołach ziemiańskich, ale wzory naturalistyczne były jeszcze tak mocne i powszechne, iż to zamieszanie podcięłoby zbytek i marnotrawstwo arystokracyi, ale nie podważyłoby dobrobytu ogółu ziemiańskiego. Ziemiaństwo, tj. szlachta, była wtedy rdzeniem ideowym narodu: przesiąknięta tradycyami, wrośnięta w ziemię całem istnieniem swojem, czerpiąca dobrobyt swój z bezpośredniego otoczenia, musiała odznaczać się odpowiedniem obliczem uczuciowem i duchowem. Żywioły miejskie były nieliczne, a o ile uznawały się za polskie, poddawały się pod powagę i kierownictwo duchowe ziemiaństwa. Niektóre klasy nie istniały, a włościanie byli warstwą, faktycznie znajdującą się po za społeczeństwem, potrzebną na to, ażeby dostarczać środków materyalnych szlachcie.

Setka lat zmieniła doszczętnie te tradycyjne stosunki.

Rozwój, zwłaszcza w drugiej połowie wieku XIX, wyprowadził na widownię różnego rodzaju żywioły miejskie i stworzył wartkie życie po za obrębem dworu. Reforma włościańska zachwiała byt znacznej części obywatelstwa i zepchnęła pewien jego odłam w niziny społeczne, tym swoim czynem urzeczywistniając dzieło doniosłe, bo odrazu, wśród pewnych zawodów, stworzyła grupę inteligentną, ze znacznemi przyzwyczajeniami kulturalnemi i potrzebami. Na wsi, po za dworem, zaczęło tętnić własne życie, słabe, ale samodzielne. Ziemiaństwo przestało być przodującym stanem, a kierunek umysłowości naszej przeszedł do miast, zróżniczkowanych na warstwy, dawniej nieobecne. Przestały one być siedzibą nielicznych rzemieślników i liczniejszych faktorów, pośredników i lichwiarzy, ale zamieniły się w ogniska produkcyi, tj. życia. Tendencye rozwoju ekonomicznego przesuwają nawet punkt ciężkości dobrobytu i aspiracyj dawnych przodowników narodu w kierunku, znajdującym się częściowo po za bezpośrednim otoczeniem. Widnokręgi wielkiego przemysłu oddawna zawarte są w takich szrankach. Całe nasze życie techniczne i umysłowe znajdują się pod działaniem wzorów, ukazujących się w społeczeństwach przodujących cywilizacyjnie naszej epoce, a każdy prąd umysłowy jest u nas silny nietylko własną potęgą, ale także i tem, że jest odblaskiem rozległych ognisk życia gdzieindziej. Mur, któryby nas odgrodził od reszty świata, nietylko zrujnowałby nas materyalnie, nietylko zubożyłby pod względem umysłowym, ale cofnąłby wstecz zpośród uczestników życia cywilizacyjnego. Uczestniczymy w pochodzie kulturalnym naszej epoki, ale na szarym jego końcu, dużo zapożyczając, a wzamian dając bardzo mało. Nawet mam wrażenie, iż odległość pomiędzy przodownikami cywilizacyj, a nami raczej wzrasta, niż zmniejsza się. Najistotniejszem naszem zadaniem jest właśnie uszczuplenie tej różnicy. Wiek XIX pracował nad tem niestrudzenie, ale z mniejszym, niż możnaby oczekiwać, rezultatem. Rozbiór przyczyn pozostawimy przyszłym pokoleniom. Może one zdołają je dobitniej wypowiedzieć, niż my, na których ciąży spadek ubiegłego wieku.

K. R. Ż.

ROLNICTWO, PRZEMYSŁ I HANDEL U NAS
w XIX wieku.

Może żadnemu z krajów europejskich wiek XIX nie przyniósł z sobą tak radykalnych zmian i przewrotów w najgłębszych podstawach życia— warunkach ekonomicznych, jak Królestwu Polskiemu. Wszystkie inne kraje, czy to „klasyczna" Anglia, czy wysoko rozwinięte ekonomicznie Francya lub Niemcy, w wieku XIX wykończały tylko proces, rozpoczęty w stuleciach ubiegłych lub przedostatniem. Przemysł angielski, angielski handel zamorski i wszechświatowy, ustąpienie rolnictwa na plan drugorzędny, proletaryzacya ludności rolniczej, stworzenie proletaryatu fabrycznego i miejskiego, powstanie wielkich ognisk przemysłu rękodzielniczego, fabrycznego i górniczego, pognębienie przemysłu drobnego przez wielki, rozpostarcie wielkich skrzydeł kapitalizmu nad wszystkiemi dziedzinami życia gospodarczego, to wytwór, to zjawisko w znacznym stopniu nie XIX-go, lecz już poprzednich stuleci. Tutaj, jak zresztą i we Francyi, i w Niemczech, wiek XIX — to tylko kulminacyjny punkt wszechmocy kapitalizmu i rozwoju wielko-przemysłowego. Inne, mniej przemysłowe, lub nieprzemysłowe kraje, kraje o charakterze rolniczym, czy to z przewagą drobnej, włościańskiej posiadłości rolnej (jak południowe Niemcy, kraje Skandynawskie), czy z wielką (feodalną) własnością (Meklemburg, Pomorze itd.), uległy wprawdzie wpływowi stosunków kapitalistycznych drogą oddziaływań rynkowych, ale w gruncie rzeczy choć częściowo zachowały swój dawny charakter; był to tylko proces organicznego niejako przystosowania się przekazanych historycznie form do zmienionych drogą rozwojową warunków zewnętrznych. Niema dziś kraju w Europie, któryby w biegu XIX w. nie uległ w mniejszym lub większym stopniu potężnemu oddziaływaniu kapitalizmu w sferze stosunków wytwórczych i wymiennych, lecz niemal wszędzie oddziaływanie to, sprawadzając zmiany w treści życia ekonomiczno-społecznego, już to formę pozostawiało na obraz i podobieństwo dawnej, już to, stanowiąc dalszy ciąg procesu, rozpoczętego dawniej, dorabiało tylko nowe formy do zmienionej uprzednio treści. Przytem nie wszędzie przeobrażenia sięgały i sięgnęły jednakowo głęboko.

Stosunkowo największym ekonomicznym zmianom w biegu ostatniego stulecia uległo państwo rosyjskie, choć nie można tego powiedzieć o całości, lecz o poszczególnych jego częściach. W tym okresie przerodziło się ono z państwa, opartego wyłącznie na naturalnej gospodarce rolnej, jakiem było do połowy prawie bieżącego stulecia, na państwo o charakterze kapitalistycznym. Kapitalizm rozwinął się tu i rozwija nietylko w sferze produkcyi przemysłowej, lecz opanował już w bardzo znacznym stopniu i coraz silniej opanowuje produkcyę rolną. W silniejszym lub słabszym stopniu widzimy to zjawisko i w najbliższych do Królestwa północno i południowo - zachodnich guberniach Cesarstwa.

Dodajmy jeszcze, że Galicya i Ks. Poznańskie dziś dopiero w żywszym stopniu podlegać zaczęły procesowi ewolucyi kapitalistycznej, zachowując jeszcze dawną przewagę szlacheckiej gospodarki rolnej i nie mogąc dotąd rozwinąć na większą skalę przemysłu miejskiego.

Powtarzam jednak, żaden, jak się zdaje, z krajów europejskich nie uległ w ciągu XIX w. tak radykalnym, doszczętnym niemal przemianom ekonomicznym, jak Królestwo Polskie. Dość uprzytomnić so-

bie epokę z przed 100 lub 120 lat i chwilę obecną, dość przeczytać parę kart z Korzonowskich „Dziejów wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta“ i zestawić je z życiem dzisiejszem. Złożyło się na to wiele czynników, a przedewszystkiem zmienione warunki bytu politycznego, wytrącające cały bieg życia ekonomicznego z dotychczasowego łożyska i kierujące go na drogi nowe, odmienne. Taki zupełny przewrót w dziedzinie ekonomicznej kraju dokonał się w stuleciu dziewiętnastem zarówno w jego stosunkach wytwórczych, przemysłowych i rolnych, jak i wymiennych, handlowych. W krótkim niniejszym artykule postaramy się dać choćby szkicowy obraz owych metamorfoz i ewolucyj, jakim w XIX w. uległy te trzy dziedziny naszego życia ekonomicznego: rolnictwo, przemysł i handel.

Zaczniemy od *rolnictwa.*

„Z prostych, opartych na gospodarce naturalnej feodalno-anarchistycznych stosunków rzeczypospolitej szlacheckiej, jaką znajdujemy w Polsce w XVIII w.—pisze R. Luxemburg *)—dostała się ona na skutek podziałów pod panowanie rządów Prus, Austryi i Rosyi Interesująca nas część Polski, należąca do Rosyi, otrzymała jednak wkrótce, jeszcze jako Księstwo Warszawskie, potem jako Królestwo Kongresowe, własną swą konstytucyę, która jednak o całe niebo różniła się od ustroju dawnej Polski, a cały administracyjny, finansowy, wojskowy i prawny porządek został przykrojony do państwa centralistycznego. Z ekonomicznymi stosunkami, do jakich nowa konstytucya została dopasowana, znalazła się ona w najostrzejszej sprzeczności. Życie ekonomiczne Polski, jak i przedtem, opierało się na własności ziemskiej... Ale własność ta zgoła nie była odpowiednią na fundament dla nowoczesnej organizacyi państwowej.“ Oparta oddawna na wyzysku pracy i ekstensywnej gospodarce latyfundyalnej, była ona pod koniec rzeczypospolitej już znacznie wyczerpana. Rządy pruskie, wojny, gospodarka napoleońska, system kontynentalny i wraz z nim zatamowanie wywozu zboża, upadek cen na zboże, te wszystkie czynniki poderwały do reszty grunt pod nogami własności ziemskiej. Na nią w dodatku upadły wszystkie ciężary zarządu krajem. Ustanowiony przez sejm w 1789 r., lecz nie wprowadzony w życie podatek 10% od dochodów ziemi, rząd pruski podniósł w 1795 r. do 24%. Normę tę utrzymał następnie prawem z 1809 r. rząd Księstwa Warszawskiego. Prócz tego na właścicieli ziemskich już od r. 1806 spadł obowiązek ponoszenia wszelkich ciężarów wojennych, mianowicie dostaw żywności w naturze, kwaterunków itd. Obciążona w ten sposób własność rolna z konieczności szukać musiała pomocy w kredycie, a w braku zorganizowanego normalnego kredytu korzystać musiała z kredytu lichwiarskiego. „To sprowadziło w polskiej własności ziemskiej — pisze wspomniana autorka — istną rewolucyę. To, co w Europie zachodniej, w średnich wiekach, zostało dokonane w ciągu stuleci drogą powolnego i ciągłego procesu — tj. rozkład patrymonialnego władania ziemią pod działaniem lichwy — to w Polsce, gdzie własność ziemska uchroniła się od lichwy aż do końca rzeczypospolitej, teraz odbyło się w ciągu mniej, niż lat 20.“ To też już w 1821 roku rząd Królestwa musiał ratować rolników od zagłady przez wstrzymanie wypłat, przypadających z wierzytelności hypotecznych, czyli t. zw. „moratorium.“ Według szacunku hypotecznego z 1824 r., odłużenie ziemi wynosiło wtedy przeszło 60% wartości, a było to jeszcze przed założeniem Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

*) „Die Industrielle Entwickelung Polens.“

W tak rozpaczliwem jednak położeniu na początku stulecia znajdowało się nietylko rolnictwo, stanowiące podstawę ekonomicznego życia kraju, ale i wszystkie inne jego gałęzie. Skarb był pusty, miasta w upadku, przemysł nie istniał. Nic dziwnego, że rządy naprzód Księstwa Warszawskiego, a zwłaszcza później Królestwa Kongresowego rozwinęły gorączkową działalność nad podniesieniem kraju z ruiny materyalnej i obmyśleniem środków poprawy. Stąd z jednej strony dążenie do podtrzymania i podniesienia upadającego rolnictwa, z drugiej do stworzenia w kraju życia przemysłowego i zapewnienia mu jaknajszerszych rynków zbytu, oraz jaknajdogodniejszych warunków celno-rynkowych. Urządzenie hypoteki w 1818 r., wspomniane „moratorium“ z 1821 r., założenie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w 1825 r., oraz Banku Polskiego w 1828 r. — to szereg czynników, których zadaniem było ratowanie rolnictwa. Własność rolną popierano nietylko bezpośrednio, lecz nawet w staraniach o zaszczepienie przemysłu dbano przedewszystkiem o takie jego gałęzie, z których mogło korzystać i rolnictwo. Tem się kierowano, popierając najgorliwiej przemysł wełniany (sukienniczy), płócienny, później zaś cukrowniczy, gorzelniczy i t. d. Bank Polski prawie $^{1}/_{3}$ wszystkich pożyczek, udzielonych w okresie 1828—70 r. zakładom przemysłowym, wydał cukrowniom (2,7 mil. rub.). Usiłowania te ku podniesieniu zrujnowanej własności ziemskiej nie pozostały bez skutku, podnosząc szacunek ziemi i zmniejszając nieco jej zadłużenie. Stopniowo dostrzegać się też dają postępy w kulturze rolnej. W każdym razie, pomimo, że przemysł miejski i fabryczny rozwijał się względnie pomyślnie już w pierwszej połowie stulecia, jednak Królestwo do połowy stulecia nosiło cechy kraju wybitnie rolniczego, a własność ziemska szlachecka nadawała ton całemu jego życiu. Dopiero reforma włościańska 1860 r. poderwała w znacznym stopniu tę przewagę szlacheckiej własności. Właściwie mówiąc, do chwili tej reformy nie było w kraju innej własności ziemskiej, prócz szlacheckiej (nie licząc dóbr rządowych). Ziemię te uprawiał przeważnie „chłop pańszczyźniany“. Zauważyć należy, że istniejące od wieków poddaństwo ludu zniesione zostało w 1807 r. Nie należy przeceniać znaczenia tej reformy. Wprawdzie art. 4 edyktu wyrzekł równość w obliczu prawa, ale o dalszych następstwach tego kroku nie pomyślano. Słusznie zarzucano prawu z 1807 r., iż było zupełnie niejasne, że „zapewne ustawodawca co innego miał na celu, a co innego zrobił.“ Grunt pozostał własnością „dziedzica.“ Pomimo pozornej równości „dziedzic mógł stawiać włościaninowi warunki, jakie mu się podobały; gdy ten ich przyjąć nie chciał, *miał prawo* poszukać sobie innego miejsca, jeżeli je znalazł. Został więc włościanin co do swej osoby za Księstwa Warszawskiego wolnym, ale to tak zupełnie wolnym, jak ptak, którego z każdego drzewa, gdzie usiędzie, spędzić dozwolono“ *). Jednak ta właśnie ujemna strona edyktu 1807 r. przydała się—powstającemu przemysłowi, który w miarę potrzeby mógł już dla siebie wyławiać owe „wolne ptaki“. W gruncie rzeczy z dobrodziejstw prawa 1807 r. włościanin Królestwa nie skorzystał prawie zupełnie. Nabył on prawo kupowania ziemi, lecz jej nie kupował, bo nie miał za co; tak przed 1860 rokiem tylko [illegible] tysiąca włościan posiadało bardzo drobną własność. Prawo z 7 czerwca 1846 r. i dodatkowe doń postanowienia Rady administracyjnej z lat 1846 i 1858 zapewniły liczne ulgi włościanom w pełnieniu powinności, korzystanie szersze z zajmowanych przez nich gruntów (ponad 3 morgi) i ułatwiły zamianę pańszczyzny na czynsz. Wreszcie prawo z r. 1864 blizko 4 milionowej ludności włościańskiej nadało prawo własności do ziemi, uprawianej dotąd przez nią czy to wzamian za pańszczyznę, czy na prawach czynszu i t. d. Reforma włościańska zmieniła znów radykalnie stosunki rolne w kraju: odtąd mamy do czynienia z wielką i średnią własnością szlachecką, przechodzącą z czasem w $^{1}/_{3}$ części w ręce żydowskie i niemieckie, lub ulegającą w dużej ilości parcelacyi, oraz z drobną własnością włościańską, która stale się zwiększa kosztem rozdrabnianej własności szlacheckiej, przyczem jednak uprawa jej pozostawia bardzo wiele do życzenia.

*) Ant. Michalski: „Włościanie i ich regulacya.“ *Bibl. warsz.*, 1845.

Od tej chwili, t. j. po roku 1864, rolnictwo wkracza na tory kapitalistyczne. Pracę pańszczyznianą i wynagrodzenie w naturze zastępuje praca najemna i wynagrodzenie pieniężne. Z drugiej strony większy posiadacz zamiast wielu dotychczasowych wyrobów pańszczyźnianych nabywać musi produkty przemysłu, co stawia go w zależności od produkcyi przemysłowej, rozwijającej się teraz w stopniu wzmożonym. Napływ pieniędzy do rąk mas włościańskich, pozwalając im również nabywać produkty fabryczne, rozszerza rynek zbytu przemysłu krajowego jeszcze bardziej. Jednocześnie rozwój komunikacyj kolejowych wraz z oddziaływaniem produkcyi fabrycznej przyspieszają proces kapitalizacyi produkcyi przemysłowej na wsi, t. j. oddzielanie się przemysłu przetwórczego od rolnictwa, i zabijają liczne gałęzie przemysłu włościańkiego.

Wprawdzie do 1884 r. ceny zboża, utrzymujące się na poziomie nader wysokim, podtrzymują rolnictwo, czyniąc mu nawet nadzieje świetnego rozwoju, ale kryzys 1885 r., wywołany konkurencyą zboża amerykańskiego i gwałtowny spadek cen na zboże, podemają byt zwłaszcza średniej własności rolnej i każą jej szukać ratunku w sprzedaży i trzebieży lasów, parcelacyi i — kredycie. Zadłużenie własności rolnej przeszło granice możliwości, sięgając przeciętnie 80%, a czasami przenosząc 2-krotnie i wyżej jej szacunek hypoteczny. W tym też czasie rolnictwo ostatecznie zeszło na plan drugi wobec rozwoju w kraju przemysłu wielkiego, który zajął w produkcyi krajowej stanowisko naczelne.

Jako czynnik dla rozwoju większej własności rolnej u nas niepomyślny, na którego opłakanie już lez zdaje się nie starczyć jej pogrzebowym płaczkom, wskazać należy silnie rozwiniętą w kraju emigracyę ludności włościanskiej, już to do miast fabrycznych, już to do Ameryki, już na letnie zarobki do Niemiec. Wobec wielkiej cyfry bezrolnych i małorolnych, przenoszącej pono 2 mil. osób, oraz wobec nizkich zarobów na wsi, ruch zupełnie zrozumiały.

Dziś własność rolna w kraju, wynosząca z górą 22 miliony morgów, dzieli się, jak następuje: grunta włościan zajmują 43% ogółu przestrzeni, wielka własność 40½%, grunta szlachty zagrodowej 6%, osad i miast 4%, skarbowe 6%. Wartość roczna produkcyi rolnej sięga wraz z hodowlą bydła, drobiu i t. d. 300 mil. rub.

Przejdziemy teraz do krótkiej charakterystyki i zobrazowania rozwoju *przemysłu wielkiego* w Królestwie Polskiem.

W rozwoju tym rozróżnić należy następujące główne okresy: okres wstępny, przygotowawczy, od 1807 r. do 1850 (t. j. do zniesienia granicy celnej między Królestwem a Cesarstwem). W tym okresie przemysł powstaje i rozwija się na stopie rękodzielniczej. Po otwarciu rynków Cesarstwa w 1850 r. rozpoczyna się okres przejściowy do produkcyi wielkiej. Trwa on do r. 1877, t. j. do chwili zaprowadzenia systemu ściślej ochronnej polityki przemysłowej w państwie. Z tą chwilą prze-

mysł Królestwa staje na stopie wielkiej kapitalistycznej produkcyi. W tym czasie przemysł krajowy ulegał oddziaływaniu licznych i różnorodnych czynników, które rozwój jego to przyspieszały, to tamowały.

Pierwsze zawiązki życia przemysłowego w kraju zawdzięczać należy opiece rządu Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, oraz zabiegom energiczniejszych jednostek i osób, stojących u steru spraw skarbowych kraju (Staszic, ks. Lubecki, Steinkeller, hr. Łubieński i t. d.). Dbano głównie i przeważnie o przyciąganie z zagranicy kapitałów i fachowców i o uzyskanie pomyślnych warunków celnych i taryfowych w stosunkach z zagranicą i Cesarstwem. Do 1830 r. warunki te były na ogół korzystne dla Królestwa, które korzystało i z rynków Cesarstwa i z tranzytu swych wyrobów do Syberyi i Chin. Po 1830/31 r. rynki Cesarstwa zamykają się dla towarów Królestwa, liczne gałęzi przemysłu upadają. Z pomocą przychodzi im Bank Polski, który przez cały ciąg swego istnienia (do 1884 r.) spełnia nader dodatnie zadanie—podtrzymywania wszystkich dziedzin życia ekonomicznego kraju. W 1850 r. granica celna z Cesarstwem zostaje zniesiona. Wpływa to na przyspieszone ożywienie przemysłu; fabryki poczynają wprowadzać maszyny, ulepszać i rozszerzać produkcyę, zjawiają się większe zakłady przemysłowe, podnosi się przemysł tkacki i górnictwo. Wzrasta Łódź. W 1848 r. otwartą została kolej Wiedeńską. Przeprowadzanie coraz to nowych kolei, łączących Królestwo z Cesarstwem, a więc zbliżających rynki zbytu, pcha rozwój przemysłowy kraju na coraz szersze tory. W 1877 r. wprowadzono cło w złocie, co podwyższa opłaty celne o 40—50%. Wraz z tą reformą państwo wstępuje na drogę wyraźnej protekcyi przemysłowej. Korzysta z niej obok przemysłu całego państwa i Królestwo. Pod wpływem ochronnej polityki państwa, rozwoju komunikacyi kolejowych i szybkiej proletaryzacyi ludności wiejskiej i miejskiej, przemysł wielki ogarnia coraz liczniejsze gałęzi produkcyi, na czele zaś wszystkich idą: tkactwo (bawełniane, wełniane i płócienne), przemysł górniczy (żelazny i węglowy), metalowy przetwórczy, cukrowniczy i t d.

Rozwój przemysłowy Królestwa posiada i posiada wszystkie te główne, zasadnicze cechy, jakiemi odznaczał się kapitalistyczny rozwój we wszystkich innych krajach. Jako najbardziej typowe zjawiska wskazać należy: ogólny, szybki wzrost wytwórczości przemysłowej, rozwój wielkiej produkcyi i zanikanie drobnej, rozwój produkcyi maszynowej i postępów technicznych, wzrost wydajności pracy, stosunkowy i liczebny wzrost ludności wielko-przemysłowej, wzrost miast wielkich i zaludnienia okręgów przemysłowych kosztem emigracyi z okręgów rolniczych, objawy centralizacyi i zrzeszenia w sferze kapitału i pracy (rozwój towarzystw akcyjnych, syndykaty, związki, stowarzyszenia, strike'i), obejmowanie coraz szerszych rynków zbytu. W obecnej chwili jesteśmy w stadyum jednego jeszcze typowego objawu wielko-przemysłowego: dotkliwego przesilenia, spowodowanego nadprodukcyą i kilkoletnią gorączkową spekulacyą giełdową i akcyjną (grynderską). Kryzys poprzedni był w r. 1883—4.

Za najbardziej typowych przedstawicieli rozwoju wielko-przemysłowego u nas uważać należy przemysł tkacki i górniczo-hutniczy. Ogólna wartość produkcyi tkackiej sięga dziś blizko 200 mil. rubli przy 400 zakładach i fabrykach i z górą 100 tys. robotników, wśród których 55% mężczyzn i 45% kobiet. Przed laty 30 wartość produkcyi tkackiej wynosiła tylko 15 mil. rb. przy 20 tys. rob. i 500 fabrykach. Centrum główne przemysłu tkackiego stanowi Łódź, inne znaczne jego ogniska — to Zgierz, Pabianice, Tomaszów; Ozorków, Sosnowice, Częstochowa, Zawiercie, Żyrardów, Zduńska Wola, Łęczyca i t. d. i t. d.

Przemysł, oparty na surowym materyale roślinnym, a więc spożywczy (cukrownie, młyny, gorzelnie, browary), drzewny i papierowy ma wartości około 80 mil. rubli, blizko 50 tys. robotników i 1000 fabryk, gdy 30 lat temu pozycye te wskazywały: 35 mil., 27 tys. i 4½ tys.

Przemysł, przerabiający materyał zwierzęcy (garbarnie, białoskórnie i t. d.) z 3,8 mil. rub., 2 tys. rob., i 550 fabryk w 1870 r. wzrósł do 13 mil. rub. i 5 tys. rob. przy 120 fabrykach.

Przemysł gorzelniczo-hutniczy (kopalnie rudy żel., węgla, galmanu i t. d., huty żel., cynkowe, sól, siarka i t. d.) ma dziś wartości 40 mil. rub. przy 50 tys. rob. i 200 zakładach, wobec $3^1/_2$ mil. rub., $6^1/_2$ tys. rob i 200 zakł. przed laty 30.

Ogółem cała wartość wielko-przemysłowa kraju w 1895 r. wynosiła około 350 mil. rub. przy 250 tys. rob. i 3 tys. fabryk, wobec 64 mil. rub., 64 tys. robotn. i $6^1/_2$ tys. fabryk w 1870 r. Rozwój uderzający! O postępach koncentracyi wielko-przemysłowej świadczy fakt, że gdy w 1870 r. na 1 fabrykę wypadało 10 tys. rub. produkcyi i 10 robotn., w 1895 r. wypada 120 tys. rub. i 82 robotników. Dodajmy, że ilość robotników wielko-przemysłowych wzrastała i stale wzrasta znacznie szybciej, niż ogólna ilość mieszkańców kraju. Jeden robotnik przemysłowy wypadał w 1895 na 38 mieszkańców, w 1870 r. na 95. Jednak ogół ludności miejskiej i fabrycznej, utrzymującej się wyłącznie z pracy rąk członków swych rodzin, dochodzi $1^1/_2$ miliona ($^1/_6$ ogółu ludności); $^8/_9$ ogólnej produkcyi wielko-przemysłowej kraju skupia się w guberniach Piotrkowskiej i Warszawskiej.

Rzemiosła istnieją po wszystkich miastach większych i mniejszych kraju, najliczniej skupiają się w Warszawie, wszędzie jednak wiodą żywot dość opłakany. Konkurencya fabryczna zabiła wiele gałęzi pracy rzemieślniczej, wiele innych skazuje na żywot suchotniczy. Konserwatyzm i rutyna rzemieślników, nie pozwalające im na korzystanie z postępów techniki i nauki, brak przedsiębiorczości i ruchliwości kupieckiej, niski stopień oświaty, ogólnej i zawodowej, brak należycie zorganizowanego kredytu wytwórczego, te i t. p. przyczyny nie dają rzemieślnikom wyzyskać niezbędnych środków pomocy i rozwoju w tych nawet gałęziach, które gdzieindziej zdołają się ostać wobec współzawodnictwa wielkiego przemysłu.

Ilość rzemieślników wynosi około 130 tys., wartość produkcyi rzemieślniczej około 100 mil. rubli.

Prócz przemysłu fabrycznego i rzemiosł utrzymuje się w niektórych okolicach kraju w dobrych rozmiarach przemysł domowy włościański (tkactwo, wyrób guzików garncarstwo i t. d), oraz pod Łodzią i w ogniskach tkactwa domowy przemysł tkacki (pomocniczo dla wielkich fabryk).

Pod względem *handlowym* wiek XIX przyniósł ze sobą zmianę zupełną. Dawna Polska posiadała przedewszystkiem rozległy rynek zbytu wewnętrzny, znaczne zaś ilości zboża i drzewa wywoziła zagranicę. Wywóz zboża roczny w końcu XVIII stulecia wynosić miał według Korzona 40 do 80 mil. złp. Przedtem wywóz ten bywał daleko znaczniejszy; uczestniczyła w nim Polska na szeroką skalę jeszcze od w. XV, słynąc jako „śpichrz Europy". Wprawdzie i w przeciągu w. XIX Królestwo Polskie było krajem, wywożącym zboże, i do dziś jest nim jeszcze, ale — w ostatnich latach zaszła zmiana — szale przywozu i wywozu przechyliły się na niekorzyść Królestwa. Za jedną z przyczyn uważać należy taryfy różniczkowo, ułatwiające dowóz zboża z Cesarstwa do Królestwa. Przewyżka wwozu nad wywozem sięga 20 mil. pud., wartości kilkunastu milionów rubli rocznie.

Wyroby przemysłu przed 1830 r. po za rynkiem wewnętrznym szukały zbytu częściowo w sąsiednich państwach, głównie w polskich prowincyach Austryi i Prus, w znacznej części skierowywały się do najbliższych gubernii Cesarstwa, jednak szły i dalej, bo nawet przez Cesarstwo i Syberyę do Chin. Pod wpływem zamknięcia granicy Cesarstwa po 1830 r. wywóz z Królestwa z 10 mil. rub. spada do 1 mil. (w 1840 r.). Po otwarciu granicy Cesarstwa w 1850 r. stosunki handlowe Królestwa z Cesarstwem znów się ożywiają i odtąd handel z Cesarstwem rozwija się stale i szybko. Rozwijający się przemysł Królestwa opanowuje znów swój stary rynek zbytu: gubernie północno- i południowo-zachodnie, a potem śle swe wyroby do Noworosyi na Kaukaz, ogarnia centralne i dalsze gubernie Cesarstwa, idzie na Syberyę. Janżułł wyciągnął ze swej ankiety wniosek, iż w 1886 r. 50—55% wyrobów przemysłowych Królestwa szło do Rosyi. Według R. Luxemburg dziś stosunek ten podnieść się musiał co najmniej do $^2/_3$. Przypuszczenie to uznamy za zupełnie uzasadnione, jeśli zważymy, że przemysł krajowy w ciągu tych lat kilkunastu podwoił swą wartość (ze 180 mil. rub. do 350 mil.), rynek zaś wewnętrzny nie mógł w żaden sposób wchłonąć tej nadwyżki. Do Cesarstwa i Syberyi idą przeważnie produkty tkackie, wyroby metalowe (maszyny, narzędzia, aparaty, mosty, szyny i t. d.) częściowo węgiel (na najbliższe koleje), cukier, produkty gorzelni, garbarni i t. d. Cukier idzie nadto do Finladyi i za granicę. Niektóre wyroby rzemieślnicze idą również w znaczniejszych nawet ilościach do Rosyi (obuwie, wyroby metalowe i t. d.) Zbyt produktów fabrycznych Królestwa za granicę jest bardzo nieznaczny.

„Przemysł wielki jest dzisiaj tym pniem *), z którego wszystkie pozostałe gałęzie życia ekonomicznego kraju ciągną dla siebie soki. Właściwie mówiąc, jest on tą sprężyną, która przekształca i podporządkowuje sobie wszystkie inne dziedziny tego życia: rolnictwo, rzemiosła, handel i środki komunikacyjne. Polska, kraj niegdyś pod względem społecznym bardzo niezłożony, stała się dziś krajem typowo kapitalistycznym. Wrzeciono mechaniczne i motor parowy odjęły jej ową własną, oryginalną fizyognomię i wycisnęły niwelujące międzynarodowe piętno. Już w 1884 r. przechodził kraj specyficzną kapitalistyczną chorobę — pierwszy wielki kryzys. Dziś w spotęgowanym stopniu ujawniają się inne typowe objawy patologiczne kapitalizmu polskiego".

Stanisław Koszutski.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Uszlachetniony szlachcic.

Żaden naród nie jest sztuczną plantacyą jednorodnych drzew i krzewów, lecz naturalnym lasem mieszanym. Ale jak w lesie, tak w narodzie przeważają pewne gatunki, które nadają ogółowi charakter. Anglik, Francuz, Niemiec lub Włoch wypełniają swemi odmianami całą skalę rodzajów ludzkich, my

*) R. Luxemburg, l. c.

jednakże pod temi nazwami rozumiemy pewne stałe typy, mniej lub więcej wyraźne. Podobnie jest z narodem polskim. Gościnny i nieodporny, osiedlony przy drodze ciągłych wędrówek i napadów, zrodził plemię wielokrotnie zmieszane z rozmaitych żywiołów, które wpłynęły do niego w gwałtownych wylewach i powolnych wsiąkaniach. Mimo to wszakże wytworzył on w sobie pewien określony typ, nie tyle może antropologiczny, ile psychologiczno-społeczny. Według niego, dwa tylko wcielenia dusz są chlubą ziemi i pociechą nieba: człowiek dobrze urodzony lub wyświęcony. Reszta — to odpadki z fabrykacyi stworzenia, gruzły lepszej lub gorszej rudy, w której mogą tkwić drobne cząsteczki szlachetnego kruszcu, ale wobec przewagi poślednich domieszek posiadają jedynie wartość użytkową. Doskonałej rasy (mówi on) nie zastąpi najstaranniejsza kultura: pierwsza zatem nie może dzielić się prawami w równej mierze z drugą; jeżeli zaś ulega żądaniom czasu i rozwoju stosunków, to tylko dobrowolnie lub przymusowo ustępuje, wreszcie darowywa, daje, ale nie oddaje. Szlachcic nie pojmuje, i nie chce uznać, ażeby on coś był winien innym stanom; on im wcale nie spłaca długów, lecz rozdaje wsparcia, zapomogi i jałmużny, nie spełnia koniecznych obowiązków, lecz ponosi ofiarę. Uzasadnienie tej ofiary nie spoczywa w ich należnościach, lecz w jego wspaniałomyślności. Ciężkie, prawdziwie kleszczowe porody równouprawnienia innowierców i uwłaszczenia chłopów w XVIII i XIX w. świadczą o tem bardzo wymownie. Herbowi demokraci chcieli rzeczywiście dopełnić aktu sprawiedliwości — nie mogli. Szamanizm, którym przerosła ich religijność, nie pozwolił im nagiąć się do zupełnej tolerancyi, ile razy zaś podniesiono sprawę niedoli ludu, przekonywającemi dla nich były tkliwe i gorące słowa a nie zimne i logiczne rozumowania. Na tej ostatniej bowiem drodze niepodobna doprowadzić szlachcica nawet do matematycznego pewnika. Do jego woli dobrać się można tylko przez serce. Wzruszony zdobędzie się na największe bohaterstwo, poświęci życie i mienie, zastąpi Biblię dziełem Darwina a modlitewnik książką Renana; wszelkim dowodzeniom się oprze. W uczuciu roztapiają się wszystkie władze jego duszy a wyobraźnia jest despotyczną panią upośledzonego rozumu. Dlatego lubi on nadzwyczajnie jaskrawą dekoracyjność życia a rozstrzygnięcia jego zagadnień oczekuje niemal wyłącznie od gry dyplomatycznej i walk orężnych; dlatego jest napuszenie deklamacyjny i dziecinnie łatwowierny, zdumiewająco śmiały i chorobliwie lękliwy, imponująco wyniosły i niewolniczo służalczy; dlatego patrzy ciągle bądź w górę z uniżonością, bądź na dół ze wzgardą a nie z poczuciem równości wokoło siebie; dlatego widzi godność w rycerstwie a nie widzi go w pracy, nosi wysoko honor a nizko sumienie; dlatego zachwyca się poezyą *) a nie cierpi nauki; dlatego w stosunkach towarzyskich jest rzadkim wzorem wytworności a w stosunkach społecznych rzadkim okazem barbarzyństwa.

Gdyby naszą historyę trzeba było uosobić, wyobrazilibyśmy ją wiernie pod postacią, która stapia w kotle różnorodne pierwiastki i tę mieszaninę wlewa w formę szlachty polskiej. Jest to nietylko forma najdawniejsza, nietylko najstaranniej zachowywana przez ciąg naszych dziejów, nietylko najbardziej ceniona w przeszłości, ale najpopularniejsza dotąd. My za zbyt z nią oswoiliśmy się, ażebyśmy mogli widzieć, do jakiego stopnia ona odciska się na wszystkich, nawet pozornie innokształtnych objawach życia. Ale cudzoziemiec natychmiast ją dostrzega. Nasi chłopi, nasi żydzi, nasi mieszczanie, swojskiego i obcego pochodzenia, skoro tylko wydobędą się ku wierzchnim warstwom społecznym, przybierają w nich znamiona szlacheckie. A nie zawsze czynią to ze świadomym zamiarem ślepego naśladownictwa i obłudnej rachuby; często także skutkiem bezwiednego upodobniania się do otaczających warunków. Jeżeli nasz włościanin po kilkoszczeblowej drabince ukształcenia i po wieloszczeblowej drabinie dorobku wejdzie na wysokość „dziedzica“ folwarku, albo też, jeżeli wygrawszy większy los na loteryi życia, zostanie lekarzem, adwokatem, przemysłowcem, nie zachowa żadnej właściwości rodzinnego gniazda i głęboko ukryje swe sympatye ludowe, ażeby one nie zdradzały jego pochodzenia. Chociaż nawet nie opuści swojej niziny, skwapliwie przemieni nazwisko Śmiech na Śmiechowski, Ordak — na Ordacki, Grzyb — na Grzybowski. Książek, malujących życie ludu i warstw mu przyległych — nie lubi; natomiast z zachwytem czyta opowieści o bojach, zabawach i romansach szlachty. Jego marzenia w nizkich wzlotach mają swój odrębny kierunek, biegnący przez kilkunastomórgowy kawał urodzajnej ziemi, pełną stodołę, ciepłą oborę z mlecznemi krowami i mocnym koniem; ale wzniesione wyżej skręcają na szlak upodobań dworskich. Nasz lud wygląda jak szkółka dziczków: dopóki są małe, rozwijają się ze swego nasienia, ale gdy podrosną, szczepią się w „koronach“ i owocują jako drzewa „szlachetne.“ I jeżeli tylko Maciej Guła dojdzie do dużego majątku, z pewnością jako Gułowski każe sobie wyszyć na bieliznie znaki z koroną, i założy stajnię wyścigową. A coby wtedy dał za jakikolwiek herb!

Temu samemu prawu ciążenia podlega mieszczanin, który w swej genealogii robi karkołomne skoki, ażeby tylko zaczepić się o drążek jakiegoś krajowego lub zagranicznego szlachcica i który najchętniej żeni się z „urodzoną,“ ażeby mu w domu zaprowadziła wytworne zwyczaje. Jest on dumny i szczęśliwy, gdy ona na biletach wizytowych wywodzi się „z Kóz-Kozowskich,“ a jadąc do Miłosny, pociesza go z wagonu: *„Ne te morde pas*, mon cher. *Je serai court à l'Ameureuse.*“

Niedawno umarł w Warszawie pewien obywatel miejski, który prawie całe swoje mienie zapisał na cele publiczne. Żył skromnie, ale bez sknerstwa. Szanowano go, a nawet lubiono. Najwyrozumialsi wszakże znajomi nie mogli mu przebaczyć, że raz kupiwszy miednicę, przyniósł ją sam do domu. Nie wiem, czy jego żona nie uznała się przez to shańbioną, ale pamiętam, że ile razy wspominano mi jego nazwisko, zawsze dodawano: „a zna pan wypadek z miednicą?“ Bogaty mieszczanin czuje się obywatelem niezupełnym, dopóki nie nabędzie dóbr ziemskich, do których zwykle dokłada, chociaż zamknąłby po roku fabrykę, gdyby mu ona przynosiła straty. Na ulicy usiłuje błyszczeć pięknymi końmi i kosztownymi zaprzęgami, w restauracyach — rozrzutnością i stosunkami z półświatkiem. Chociaż protestant, nie otworzy fabryki, restauracyi, sklepu, banku, dopóki lokalu nie poświęci ksiądz katolicki. Na wsi nosi czapkę z daszkiem, uwodzi folwarczne dziewczyny, przyjaźni się z proboszczem i każe się służbie tytułować „jasnym panem.“ Wyprawiając uczty, leje obficie wino, wznosi toasty: „kochajmy się“ lub „strzemiennego.“ Słowem, karmazyn!

Chyba niema na świecie drugiego kraju, gdzieby Żydzi obchodzili Boże Narodzenie, urządzali święcone i zgromadzali się w kościołach na nabożeństwa żałobne. Robią to tylko u nas. I jeżeli odtrącimy drobne różnice, dostrzeżemy, że zwyczaje, a nawet przekonania inteligentnych i zamożnych Żydów polskich upodobnione są zupełnie do atmosfery moralnej ogółu, a przedewszystkiem szlacheckiej. Gdyby powiedziano cudzoziemcowi, że u nas Janowie, Stanisławowie, Karolowie wyznania mojżeszowego obchodzą uroczyście imieniny w dniu swoich patronów — nie chciałby wierzyć. Zauważono, że w naszych rodzinach żydowskich duże majątki bardzo rzadko utrzymują się bez przerwy przez kilka pokoleń i że zwykle już synowie tracą dorobki ojców. Jest to niewątpliwy skutek nagłego powstawania pragnień życia nad stan, dorównania wzorom popularnym i zapełnienia rozrzutnością głębokiego od nich przedziału. Nietylko w ujemnym, ale i w dodatnim kierunku uspołecznieni Żydzi nasi robią natężone wysiłki. Jedni z pobudek obywatelskich, ale drudzy, może liczniejsi, z obawy odchylenia swego życia od pionu szlacheckiego, którego rzeczywista szlachta przestrzega zwykle tylko w słowach, starają się wobec rozmaitych potrzeb społecznych zachować postawę patrycyatu znającego swoje obowiązki. Prywatnie nucą sobie melodye dysydenckie, demokratyczne, a nawet radykalne, ale publicznie stosują swoje kroki do rytmu marsza sodalistów. Powtarza się ciągle bajka, że Żydzi głównie popierają literaturę postępową. Przejrzyjcie ich biblioteki, gabinety i stoły salonów: znajdziecie tam przeważnie książki prawomyślne, powieści szlacheckie, pisma „dla rodzin katolickich,“ a nawet... antysemickie. W ciągu lat dokonało się w nich to, co Darwin nazywa *mimicry*— przez dobór naturalny w walce o byt upodobnienie się do otoczenia.

Że nasza nauka liczy się z gustami, pojęciami i przesądami szlacheckimi, że nasza sztuka i literatura są przeważnie szlacheckie — nie potrzebuję dowodzić. Wątpię, czy w całem naszem piśmiennictwie możnaby znaleźć pięciu autorów od tego znamienia wolnych. Ale co ważniejsza, nawet nasza antyszlacheckość jest szlachecką. Dosyć poskrobać lekko skórę naszego demokraty, ażeby pod nią dostrzedz tkankę karmazynową. Przypatrzcie się tylko uważnie rozmaitym zabiegom i staraniom około ludu: zawsze z nich wygląda poczciwa twarz „pana,“ który ulitował się nad biednym kmiotkiem i wyświadcza mu rozmaite „łaski“ lub ponosi dla niego „ofiary.“

Ów naczelny typ naszego życia, czucia i myślenia nie przetrwał dotąd bez przyczyny. On był przez cały ciąg dziejów narodu jedyną formą jego obywatelstwa, on sam zlikwidował samodzielne jego istnienie, on przechował się z przeszłości jako pamiątka historyczna i upostaciowanie wspomnień. Nowoczesne społeczeństwo ma do niego ogromnie dużo pretensyi, uraz, żalu, gniewu; ale ostatecznie musiało w braku innej przyjąć tę przez wieki urobioną i umocnioną formę. Mówię: formę, gdyż szlachta polska, jako ciało jednorodne, wyodrębnione i zorganizowane, zniknęła, pozostawiwszy tylko swoją skorupę. Resztki jej, rasowo najczystsze a kulturalnie najbardziej zmumizowane, przebywają w sferze ziemiańskiej, wydając z siebie od czasu do czasu jednostki bardzo dzielne, masa zaś, zmieszana z innymi żywiołami, weszła w skład rozmaitych warstw społecznych. Cały wiek XIX u nas wypełnił się próbami i staraniami, ażeby ową formę rozszerzyć, poprawić, napełnić świeżą treścią, zwłaszcza zaś sympatyami i zasługami dla ludu. I rzeczywiście nieco ją odnowiono i zastosowano do wymagań czasu. Ale wszelka przeróbka ma swoje granice, na których zatrzymać się musi. Szlachcic polski niewątpliwie zmądrzał, zdemokratyzował się, uspołecznił, wyszlachetniał, wszakże typem przyszłości być nie może. Pod działaniem czynników eko-

---

*) Polak, któryby w młodości nie pisał wierszy, jest bardzo rzadkim wyjątkiem; natomiast mamy profesorów uniwersytetu, którzy nie napisali ani jednej broszury naukowej.

nomicznych, prądów umysłowych, wpływów moralnych powoli on zginie i pozostanie tylko w źródłosłowie wyrazów podobnego dźwięku a odmiennych znaczeń. Szlachetny Polak nie będzie wtedy szlachcicem.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

JĘZYKOZNAWSTWO POLSKIE W XIX STULECIU.

Wiek XIX dla językoznawstwa polskiego rozpoczął się bardzo pomyślnie. Zaraz bowiem w pierwszym lat dziesiątku (od r. 1807) ukazuje się w zakresie leksykografii polskiej praca pomnikowego znaczenia. „Słownik języka polskiego“ Lindego. Dzieło to, obejmujące w 6 wielkich tomach słowozbiór mowy ówczesnej, systematycznie ułożony i w sposób porównawczy i historyczny objaśniony, ze względu na ogrom przedsięwzięcia i umiejętne opracowanie, słusznie umieszczono na jednem z naczelnych miejsc w rzędzie najznakomitszych słowników europejskich. Nie straciło ono i do dziś swej naukowej i jako źródło wysokiej wartości; nie przestało być drogocennym skarbcem mowy polskiej, pomimo że nie zawiera tej części dorobku językowego, którym język nasz wzbogacił się w ciągu całego upłynionego stulecia, odbijając w tysiącach nowych wyrazów i wyrażeń rozwój kultury tego stulecia, wpływ zasadniczych przeobrażeń dziejowych i zmienionych warunków życia narodu.

Rozbudzone z początkiem wieku XIX w Europie badania języka starożytnych Indów (sanskryckiego) i ich literatury i rozwinięte dalej poszukiwania ogólnojęzykoznawcze, które następnie doprowadziły do wykrycia pokrewieństwa wzajemnego języków i ludów, tworzących szczep indoeuropejski, nie przeszły i u nas niepostrzeżenie, ale uwydatniły się w kilku pracach poważnych, dowodzących należytego rozumienia doniosłości podjętych zadań naukowych. Badania te rozpoczął u nas Walenty Skorochód Majewski i wyniki ich, czytane naprzód w Towarzystwie przyjaciół nauk, ogłaszał w formie rozpraw o literaturze Indów i o języku sanskryckim, którego nadto zarys gramatyki podał po raz pierwszy w dziele „O Słowianach i ich pobratymcach“ (Warszawa, 1816), a następnie obszerniej opracował (Warsz., 1828). Cel jasno wytknięty przyświecał jego pracom. W przedmowie do dzieła „O Słowianach“ mówi: „Wielkie podobieństwo, które między mową, obyczajami, prawami, bóstwami starożytnemi Indyan i dawnych Iranu mieszkańców, a również starożytnych Słowian, dostrzegłem, skłoniło mnie do zebrania rozrzuconych postrzeżeń.“ Przeświadczony o „pobratymstwie“ tych języków i ludów a tem samem i o wspólnym ich pochodzeniu „od jakowegoś wielkiego szczepu,“ starał się bliżej zapoznać spółczesnych z temi pierwiastkami nowej wiedzy. Drukuje więc w r. 1830 w Warszawie część wielkiego poematu sanskryckiego p. t. „Brahma-Waiwarta-Puránam“ (w drukarni Łątkiewicza, str. 18+55 w dużej 4-ce), opiewającego przyjście bóstwa Kryszny na ziemię; tekst poematu w tem wydaniu odbity jest czcionkami sanskryckiemi, „przez tutejszych artystów odlanemi,“ do tego dołączył wydawca przekład utworu łaciński Stenzlera,*z własnem tłomaczeniem polskiem; nadto przydał tablicę abecadłową sanskrycką i oznaczył sposób wymawiania każdego wyrazu, „aby obeznanie się z tą mową szan. współziomkom i pobratymcom ułatwić.“ Oprócz prac tych i kilku innych za życia ogłoszonych, Majewski pozostawił w rękopisach 21 tomów swych badań i pomysłów, opartych na gorliwem studyowaniu dzieł spółczesnych uczonych.

Niemniej pomyślne dla badań językowych zapowiedzi mamy w pracach spółczesnego Majewskiemu Ignacego Rakowieckiego, dokonanych w dziedzinie starożytności słowiańskich i języka staropolskiego. On pierwszy u nas rozpatrywał najdawniejsze znane wówczas zabytki polszczyzny i postrzeżenia swoje ogłosił w obszernej rozprawie p. n. „Rys historyczny początku i stanu języka słowiańskiego i polskiego“ (w t. II dzieła „Prawda ruska“ 1822).

Te jednak usiłowania jednostek były zbyt krótkotrwałe, aby mogły wywołać ruch szerszy i dla nauki owocny, data wydania ostatniej książki Majewskiego (1830) tłomaczy do pewnego stopnia rychły i doszczętny zanik tego ruchu.

W dziedzinie badań *gramatycznych* samej polszczyzny w XIX stuleciu rozróżnić należy dwa mniej więcej półwiekowe okresy: pierwszy — okres Kopczyńskiego i jego naśladowców, ciągnący się od końca w. XVIII po za pierwszą połowę w. XIX, i drugi, od ukazania się pierwszych prac gramatycznych, opartych na badaniach porównawczych, aż do dni naszych.

Okres 1-szy rozpoczyna się równoległem traktowaniem języka polskiego i łaciny w sposób podany w książce Kopczyńskiego. Jest ono zbyt powierzchowne i polega na czysto zewnętrznych postrzeżeniach nad językiem, dokonywanych bez znajomości ogólnych zasad jego budowy gramatycznej i historycznego rozwoju języka. Dlatego też nie przyniosło ono żadnej korzyści dla istotnej nauki, dla głębszego, naukowego poznania przyrodzonych właściwości mowy ojczystej. Brak tych podstaw w gramatyce Kopczyńskiego i wogóle ścisłych pojęć gramatycznych i wyjaśnień, odpowiadających spółczesnemu stanowi nauki na Zachodzie (choćby tylko we Francyi), powodował w jego pracy określenia snute z fantazyi, mniemania i omówienia czysto osobiste i często najfałszywsze, które w następstwie prowadziły do wniosków również nieprawdziwych. Zamiast wnikania w istotę faktów rzeczywistych języka i wyłącznego na nich opierania wszelkich uogólnień i prawd gramatycznych, autor ulega zbyt często swej dążności do filozofowania, do niby filozoficznych postrzeżeń i tłomaczeń, które wykład czyniły mglistym, mało zrozumiałym, a do tego najmniej naukowym. Mimo to wszystko, a może właśnie dlatego gramatykę Kopczyńskiego uważano za dzieło niezrównanej doskonałości i gruntowności, jakiego „w żadnym niema narodzie,“ a samego autora za „prawodawcę językowego,“ który ogłoszeniem takiego dzieła „zlał na spółczesnych zaszczyt i chlubę.“ Oczywiście sądy takie nie opierały się bynajmniej na rozbiorze krytycznym książki; pochodziły one od ludzi oświeconych wprawdzie i zasłużonych, ale jaknajmniej przygotowanych do sądzenia o samym przedmiocie. Następstwem zaś tych pochwał ogólnych była bezwzględna wiara w powagę Kopczyńskiego i niemylność przepisów w jego gramatyce podanych. Zależnie od tej opinii rozpowszechniło się też wśród szerszego ogółu fałszywe mniemanie, że gramatyk jest „prawodawcą języka,“ który może przekształcać i „poprawiać“ żywą mowę ogółu, a nawet narzucać jej właściwości, nie istniejące w samym języku, według własnego widzenia rzeczy. Wskutek tego szerzyły się twierdzenia i przepisy gramatyczne dowolne, pomyślane i sformułowane niezależnie od faktów żywego języka spółczesnego i nawet sprzeczne z jego przeszłością. Do takich np. pomysłów, i nienaukowych i z prawdą niezgodnych, należy przepis wydany przez Kopczyńskiego, odróżniania rodzaju nijakiego od męskiego w dwóch przypadkach, narzędniku i miejscowniku licz. pojed. przymiotników i zaimków (*-em* i *-ym*), jako też odróżniania tych rodzajów w narzędniku l. mn. (*-emi*, *-ymi*); do nich też należy błędna całkiem reguła o wtrącaniu w imiesłowach z przyrostkiem *-szy* spółgłoski *l* przed tym przyrostkiem (np. zjad-ł-szy, zam. zjadszy). Tego rodzaju „prawidła“ gramatyczne, stworzone po za językiem i rozpowszechnione następnie przez naśladowców Kopczyńskiego, do dziś dnia w pisowni większości utrzymują się jedynie pod osłoną powagi... raz wyrzeczonego fałszywego przepisu.

W długim szeregu książek gramatycznych, które wyszły z pod pióra następców i naśladowców Kopczyńskiego, wyróżniają się prace Józefa Mrozińskiego p. t. „Pierwsze zasady gramatyki języka polskiego“ (Warsz. 1822, str. 97) i „Odpowiedź na recenzyę“ tejże gramatyki (1824, str. 300). W obu tych działach autor ukazuje się jako niepospolity uczony i samodzielny badacz języka, który, wykształcony w tej gałęzi wiedzy sumiennem studyowaniem dzieł językoznawczych francuskich, angielskich i niemieckich, umiał wyniki nauki, przez obcych osiągnięte, spożytkować dla gramatyki języka polskiego. Badania jednak Mrozińskiego i jego poglądy nie znalazły wśród gramatyków spółczesnych należytego uznania po części z powodu, iż ściślejsza w nich metoda naukowa zanadto odbiegała od panującego kierunku, jaki wytknął Kopczyński, po części także z przyczyny innych nieprzyjaznych warunków.

Z naukowego uzdolnienia Mrozińskiego korzystało tylko Towarzystwo przyj. nauk w czasie prac „Deputacyi“ swojej około ułożenia projektu przepisów ortografii polskiej. Deputacya czyli komisya w tym celu przez Towarzystwo utworzona (Szwejkowski, Osiński, Brodziński i in.), pragnąc się z zadania wywiązać należycie, zaprosiła do swej pracy Józefa Mrozińskiego, który też był najczynniejszym w tem gronie spółpracownikiem. Jak wiadomo, wynikiem pracy Deputacyi było dzieło zbiorowe, drukiem ogłoszone p. n. „Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej przez Deputacyę od król. Tow. war. prz. nauk wyznaczoną“ (Warsz. 1830, str. 588). Cały ten projekt wykonany był przez członków Deputacyi z sumiennością, jakiej ważność sprawy ogólnej wymagała. Nie był on jednak ani publicznie roztrząśniony, ani przez Towarzystwo rozważony z powodu zaszłych wówczas wypadków i rozwiązania samego Towarzystwa przyjaciół nauk. Tym sposobem nietylko projekt ustalenia pisowni polskiej pozostał tylko projektem, ale i cała praca około dalszego systematycznego rozwoju językoznawstwa zostały na czas długi przerwano.

Wśród ogólnej ciszy, jaka u nas po r. 1830 zaległa na polach badań naukowych, nie ustała potrzeba przedrukowywania lub układania nowych gramatyk, i dlatego zjawia się ich liczba dość znaczna. Mają one na widoku przedewszystkiem cele praktycznego nauczania języka i do postępu samej nauki polszczyzny, ściśle rzecz biorąc, wcale się nie przyczyniły. Zaznaczyć należy, że pomiędzy autorami, którzy w okresie Kopczyńskiego zajmowali się pracami gramatycznemi, do wybitniejszych należą: Krzysztof Mrongowiusz (1811..1837), Jerzy Sam. Bandtkie (1808... 1824), Józef Muczkowski (1825 i późn.), Feliks Żochowski (1838), Eug. Łazowski (1848) i A. Kozłowski (1850).

Równocześnie powstały wśród Niemców nowy kierunek badań językoznawczych od

czasu wystąpienia Boppa (1816) bez przerwy się tam rozwijał, pociągając do pracy w tej dziedzinie coraz nowe umysły. Kierunek ten przez długi czas nie doznawał u nas przychylnego przyjęcia. Wieści o „nowej nauce niemieckiej,“ przygodnie się tu przeciskające, nie obudziły nawet chęci bliższego zapoznania się z jej nową metodą. Ówcześni gramatycy naszego zacisza, przeważnie bez należytego przygotowania filologicznego, nie zaprawieni do ścisłych badań naukowych, układali w najlepszej intencyi gramatyki języka ojczystego, nie troszcząc się o zasady i metody naukowe, ufni jedynie własnemu poczuciu rodzimej budowy tego języka i pewni, że w jego duchu znajdą niczem niezmąconą krynicę mądrości językoznawczej. I tutaj filozofowanie metafizyczne, snute z natchnienia, zamiast metodycznego rozważania faktów i zjawisk językowych, prowadziło częstokroć umysły na jałowe bezdroża.

Przez trzy blizko dziesiątki lat (mniej więcej 1835—65) tego rodzaju gramatycy odpychali skutecznie wszelki przypływ światła, jaki do umiejętności każdego języka wprowadzały gramatyczne badania porównawcze na Zachodzie. Czujniejsi z pomiędzy nich, jak Ant. Morzycki (1848), Jan Deszkiewicz (1846...) i in., zaniepokojeni szerzącymi się posłuchami o nowej niemieckiej mądrości, nie wahali się ostrzegać naród o zgubnych skutkach, jakie „nowa lingwistyczna reformacya, rozkładająca języki... ducha narodów,“ będąca płodem giermańskiego ducha, na nasz język sprowadzić może. Groźne te wołania i przepowiednie fałszywych proroków, jak wiadomo, nie ziściły się; dla badań zaś językowych nadszedł i u nas okres przyjaźniejszy. Rozpoczyna się on w drugiej połowie XIX w., a zwiastują go prace gramatyczne, oparte na głębszych studyach porównawczych, za pomocą których przeszczepiają się zwolna na grunt polski nowsze metody badań językowych, wyrobione na Zachodzie. Do prac tych należą: Hip. Cegielskiego „O słowie polskiem“ (1842, 1854), Henr. Sucheckiego: „Formy gramatyczne języka staropolskiego“ (1857), „Gramatyka“ (Praga, 1859), „Budowa języka polskiego“ (1863), rozprawy ks. Fran. Ksaw. Malinowskiego (1854...), Bron. Trzaskowskiego (1861), Józ. Przyborowskiego (1857, 1861) i J. Łukomskiego (1862); wreszcie ukazuje się w r. 1863 „Gramatyka języka polskiego“ A. Małeckiego, opracowana głównie na podstawie „Gramatyki porównawczej języków słowiańskich“ Fr. Mikloszića, profesora tego przedmiotu w uniwersytecie wiedeńskim. Wydanie gramatyki Małeckiego miało przedewszystkiem doniosłe znaczenie pedagogiczne; przy pomocy bowiem tej książki pierwiastki spółczesnej wiedzy językoznawczej wprowadzono do nauki języka polskiego, co jednocześnie podnosiło poziom nauczania tego języka, a następnie, łącznie z innymi czynnikami przyjaznymi, sprowadziło w szerszych kołach zmianę w pojmowaniu i traktowaniu nauki języka i przyczyniło się pośrednio do dalszego rozwoju u nas tej nauki.

Podobnego rodzaju wpływ na rozwój badań językowych wywarły prace ks. Fr. Ksaw. Malinowskiego, głównie zaś jego „Krytyczno-porównawcza gramatyka języka polskiego“ (Poznań, 1869—70), dzieło mniej rozpowszechnione, niż książka Małeckiego, niemniej wszakże cenione jako owoc samodzielnych i sumiennych studyów autora. W historyi naszej nauki zajmuje ono miejsce wybitne jako praca uwzględniająca przeszłość języka i oświetlająca właściwości polszczyzny w związku z odpowiedniemi zjawiskami językow pokrewnych (litewskiego, starosłowiańskiego i in.). Dzisiaj, po latach trzydziestu, straciło ono znacznie na wartości, wiele bowiem wyjaśnień i poglądów autora na rozwój języka nie odpowiada już nowszym pojęciom naukowym. Oprócz samodzielnie napisanej gramatyki polskiej ks. Malinowski przełożył także na język polski gramatykę sanskrycką Boppa, opatrzywszy jej tekst licznemi uwagami, odnoszącemi się do polszczyzny (Poznań, 1882).

Obok wymienionych dzieł naukowych, do warunków i czynników, które wpłynęły korzystnie na rozwój u nas badań metokowych nad polszczyzną, należą: *a*) Wykłady na wydziale filologicznym w Szkole Głównej warszawskiej (1863—1869), mianowicie działalność profesorska J. Przyborowskiego i B Kwieta, którym słuchacze zawdzięczali poznanie metody historycznego i porównawczego badania języka; *b*) założenie Akademii Umiejętności w Krakowie (1873), której czynny i stały udział w rozwoju naszej nauki mamy widoczny w ogłaszanych przez nią wydawnictwach, zwłaszcza w „Rozprawach wydziału filologicznego“ (32 tomy do r. 1901) i w „Sprawozdaniach komisyi językowej“ (tomów 5); wreszcie *c*) pierwszorzędnego znaczenia dla tego rozwoju było objęcie w r. 1877 katedry filologii słowiańskiej w uniwersytecie Jagiellońskim przez ś. p. Lucyana Malinowskiego i jego dwudziestoletnia wielce pożyteczna działalność na tem stanowisku († 1898). Umiejętnem posiłkowaniem się metodą historyczno-porównawczą w wykładach ustnych i w pracach drukiem ogłoszonych przyczynił się on niezaprzeczenie do rozpowszechnienia i ustalenia u nas kierunku ściśle naukowego w dzisiejszych badaniach językowych. Prace jego rzuciły wiele jasnego światła na budowę języka polskiego, na pewne strony jego historyi i rozwoju. On pierwszy wykazał doniosłość takiego czynnika psychologicznego w rozwoju języka, jakim jest etymologia ludowa albo słoworód ludowy (1869), a jego „Studya nad etymologią ludową (1884—96) są żywą i barwną ilustracyą psychologicznego kierunku badań językowych. Rozprawą swoją „O dyalekcie opolskim na Górnym Szląsku“ (1873, po niem.) założył trwałą podstawę ściśle naukowych badań dyalektologicznych i stworzył nową gałąź nauki — dyalektologię polską. Gorliwością Malinowskiego, jego nauką i niezwykłem zamiłowaniem przedmiotu stanął wykład polszczyzny w uniwersytecie Jagiellońskim po raz pierwszy na wysokości należnej temu przedmiotowi. Wykładami z katedry i pracą w seminaryum filologicznem wykształcił on cały zastęp uzdolnionych pracowników w dziedzinie badań polszczyzny, którzy niebawem dali się poznać własnemi pracami naukowemi.

Ze względu na liczny szereg prac istotnej naukowej wartości, jakie się w tym drugim okresie na polu językoznawstwa polskiego ukazały, okres ten można nazwać *naukowym*, krytycznym, w przeciwstawieniu do poprzedniego okresu fantazyi i wszelakich dedukcyj gramatycznych.

Do wybitnych prac tego okresu należą: *a*) Z dziedziny *etymologii*, czyli *słoworodu* ludowego, praca Jana Karłowicza „Słoworód ludowy (1878), pierwsza w języku polskim, wyjaśniająca sposób powstawania pewnych form wyrazów wskutek bezwiednego upodobnienia wyrazów obcych lub też swojskich niezrozumiałych do wyrazów rodzimych dobrze znanych; Lucyana Malinowskiego „Studya nad etymologią ludową,“ wyżej wzmiankowane. *b*) Z *historyi* języka: J. Baudouina de Courtenay rozprawa o analogii językowej (po niemiecku), praca wytyczna w tej dziedzinie badań; treść jej stanowi zastosowanie analogii jako siły uogólniającej zjawiska językowe, do objaśnień dziejów deklinacyi polskiej; tegoż autora dzieło „O języku staropolskim przed wiekiem XIV“ (1870), po raz pierwszy rozjaśniające stan polszczyzny starodawnej na podstawie materyałów, zebranych ze źródeł rękopiśmiennych, sięgających wieku XI, jedna z najlepszych prac o języku polskim; rozprawy Wł. Nehringa „O wpływie języka i piśmiennictwa staroczeskiego na staropolszczyznę (w Archiwum Jagića, 1876—82), wyświetlające rozmiary tego wpływu, tyle ważne dla historyi języka, literatury i kultury polskiej, tegoż dzieło: „Staropolskie zabytki języka“ (1886, po niem.), zawierające przegląd systematyczny zabytków polszczyzny i krytyczną ich ocenę; tegoż wydania zabytków staropolskich w. XIV—XV: „Psałterza florjańskiego“ i „Kazań gnieźnieńskich“ — teksty wraz z opracowaniem; prace A. Brücknera, jak: „Kazania świętokrzyskie,“ najstarszy zabytek języka polskiego z początku w. XIV; „Kazania średniowieczne,“ „Powieści polskie“ z w. XV—XVII; „Język Wacława Potockiego“ (1900) i in. w Rozpr. Akademii i różnych czasopismach. Antoni Kalina w dziele pod ogólnym nagłówkiem „Historya języka polskiego“ przedstawił „Formy gramatyczne języka od w. XIV do końca XVIII“ (Lwów, 1883). Do działu tego należą, oprócz wymienionych, liczne wydania innych zabytków staropolszczyzny. *c*) W dziale dyalektologii, oprócz głównej pracy L. Malinowskiego, o narzeczu opolskiem, mamy cały szereg rozpraw napisanych bądź przez jego uczniów, bądź innych badaczów (Hanusz, Zawiliński, Matusiak, Łoś, Dobrzycki i in.). *d*) W zakresie badań leksykalnych posiadamy prace wysokiej wartości J. Karłowicza: „Słownik wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia, używanych w języku polskim“ (lit. A do K, 1894—97) i „Słownik gwar polskich“ (I. A do E, 1900); nadto Ad. Krasińskiego „Słownik synonimów polskich“ (1885); G. Korbuta „Wyrazy niemieckie w jęz. polskim“ (1893), H. Łopacińskiego obszerne i skrzętnie zgromadzone „Przyczynki do słownika jęz. polskiego“ (1891, 1900), i inne. Tu także zaznaczyć należy wychodzący w Warszawie kilkotomowy „Słownik języka polskiego,“ ułożony przy współudziale wielu pracowników, pod redakcyą J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego; obejmuje on słowozbiór spółczesnego języka literackiego, mowę prowincyonalną i ludową; obok znaczenia wyrazów zawierać będzie i objaśnienia o ich pochodzeniu (wychodzi tom II gi). *e*) Z prac, mających za zadanie wykład systematyczny *gramatyki* języka polskiego, do wydanych w końcu w. XIX (oprócz wymienionych) należą: A. Kryńskiego: „Gramatyka języka polskiego“ (1897, wyd. 2-gie 1900) i Krasnowolskiego „Składnia języka polskiego“ (1897).

Zaznaczymy w końcu, że oprócz wydawnictw Akademii Umiejętności w Krakowie, wychodzi także w Warszawie czasopismo poświęcone głównie badaniu polszczyzny p. t. „Prace filologiczne,“ wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. Kryńskiego (i L. Malinowskiego †). Założone w r. 1885, obejmuje w pięciu wydanych tomach rozprawy językoznawcze, głównie z historyi języka polskiego, zabytki języka i ich opracowania, studya nad etymologią ludową, rożne przyczynki naukowe, wiadomości bibliograficzne i sprawozdania z prac w tym zakresie. Prace tu swoje zamieścili: K. Appel, Baudouin de C., Brückner, Bystroń, J. Hanusz, A. Kalina, J. Karłowicz, G. Korbut, A. Kryński, H. Łopaciński, J. Łoś, L. Malinowski, Wł. Nehring, Kazim. Nitsch, S. Dobrzycki i inni.

Adam Ant. Kryński.

IDEE EKONOMICZNE A SPOŁECZEŃSTWO POLSKIE.

Z bogatej, zasobnej w liczne rzemiosła i kunszty, wiodącej rozległy handel ze Wschodem i Zachodem, Polski XV i XVI wieku, w drugiej połowie XVII stulecia stał się kraj biedny. Był on wciąż jeszcze spichlerzem Europy i przybywającego doń cudzoziemca olśniewał przepych fortun magnackich — lecz zanikł już wówczas dostatek miast i wsi, opustoszały wzniesione przez Kazimierza a kwitnące w epoce Jagielonów murowane grody, rzemiosła wlokły mizerny żywot, trudniąc się jedynie naprawą wyrobów cudzoziemskich, które szlachcie bez cła z zagranicy sprowadzał, a i postęp rolnictwa ustał. Gospodarczy ten Polski upadek staje się w XVIII wieku coraz szybszym wślad za ogólnym ducha naszego upadkiem. Za Sasów Polska pod ekonomiczno-społecznym jak i pod wszelkimi innymi względami rozkłada się, dezorganizuje się, żywą już tylko ruiną dawnej świetności będąc.

Pozostały wszakże liczne jeszcze jednostki a i niektóre warstwy, jako to mieszczaństwo Krakowa, Warszawy, Poznania, których ogólna demoralizacya nie zakaziła. Na widok bezpośrednio grożącego niebezpieczeństwa, skupiają się zdrowe te elementy, wytwarzając jednolite stronnictwo reformy. Na pierwszym planie niezbędnych reform była oczywista sprawa podniesienia siły militarnej kraju, pozbawionego niemal całkiem wojska, i w którym wobec tego wszelki obcy jak chciał, tak się rządził ku szkodzie Rzeczypospolitej. Wystawienie 100-tysięcznej armii — staje się kryteryum większości praktycznych żądań dążącego do odrodzenia narodowego stronnictwa. A że dla sformułowania i wystawienia licznej armii potrzeba bogatego skarbu, Rzeczpospolita zaś dochodów żadnych niemal nie miała — więc też umysły wszystkich patryotów usilnie nad wzmożeniem finansów Polski pracują.

Już z początkiem rządów Stanisława Augusta powstaje liczna nader literatura rozmaitych projektów finansowych. Dotyczą one wszelako wyłącznie niemal reform monetarnych, zwiększenia wydajności istniejących już podatków, finansowej fruktyfikacyi dóbr narodowych oraz z rzadka sposobów uzyskania kredytu dla rządu.

Łącznie z tem silniej też odzywają się głosy, których zresztą i dawniej nie zupełnie brakowało ku poprawie obyczajów gospodarczych nawołujące ku zaniechaniu zbytku, lepszemu obchodzeniu się z poddanymi, sprawiedliwszemu pełnieniu przez starostów powierzonej im nad miastami opieki. Lecz dopiero po pierwszym rozbiorze staje się patryotom widocznem, że finansowa bezsilność Polski ma swą przyczynę bezpośrednią w ogólnym upadku ekonomicznym i że bez gruntownej zmiany istniejącego systemu gospodarczego nowych źródeł dochodów państwowych się nie pozyska.

Od końca XVI wieku panował w Polsce ścisły fizyokratyzm. Nie drogą dociekań filozoficznych, jak na Zachodzie, lecz praktycznej walki politycznej szlachty-ziemiaństwa z królem i możnowładztwem powstał on u nas, zatryumfował ostatecznie za Zygmunta Augusta i Wazów, i na półtora wieku przed Quesnay'em sformułowany został przez szlachtę polską w Voluminach Legum. Ziemia jedynie przynosi czystą intratę, kunszta i rzemiosła bogactwa nie przysparzają, a tylko odpowiedniejszą do spożycia nadają mu formę, handel zaś jest wręcz szkodliwy — tak głosiło *credo* szlacheckie. Więc nietylko pozbawiono przemysł tej opieki, jaką go ostatni Piastowicze i Jagieloni otoczyli, lecz i odebrano mu naturalną rozwoju jego podstawę, zaprowadzając wolny handel w epoce, gdy obok lokalnego wszechświatowy tylko rynek istniał, gdy więc rozbijając lokalne organizacye ekonomiczne, cały handel wewnętrzny i przemysł krajowy handlowi i przemysłowi zagranicznemu tem samem podporządkowywano. Zostały zniesione cła, wyjąwszy dla przekupniów, cechy, opłaty na rogatkach miejskich, miejskie prawa jarmarczne — i przemysł upadł, a z nim miasta, z miastami zaś i rolnictwo i dobrobyt włościan, którzy łasztów do Gdańska nie spławiali, jeno produkta swe w miastach sąsiednich sprzedawać mogli.

Stronnictwo reformy widzi konieczność podniesienia miast i przemysłu, jeśli Polska nie ma z braku finansowych dochodów zginąć. Ożywiony wogóle ruch umysłowy sprowadza, że w tymże czasie zjawiają się i u nas pierwsze traktaty teoretyczne ekonomii, prawa naturalnego i polityki Strojnowskiego, Czaplickiego itd. I oczywista wobec zapanowania jednocześnie na Zachodzie teoryi fizyokratycznej, tak znakomicie tradycyjnym polskim poglądom odpowiadającej, traktaty te ściśle są fizyokratyczne. To też reformatorzy nie ośmielają się zerwać w zasadzie z fizyokratyzmem. Lecz choć listy do Małachowskiego Kołłątaja i uwagi nad życiem Jana Zamojskiego, Staszyca pełne są zdań o czystej intracie, szkodliwości handlu itd., to jednak zarówno jeden jak drugi podnoszą wymowny a potężny swój głos z żądaniem poparcia dla przemysłu, zaprowadzenia ceł, przywrócenia samodzielności gospodarczej miast, a obok tego i zmniejszenia oraz ściślego określenia powinności włościańskich; językiem teoryj fizyokratycznych wyrażają oni praktyczne postulaty industryalizmu. Sejm czteroletni żądania i postulaty te w olbrzymiej większości uchwalił. Na wypełnienie ich wszakże brakło czasu. Nastąpił drugi i zaraz trzeci rozbiór, Polska przestała żyć samodzielnem społeczno-gospodarczem życiem. Zainteresowanie też dla spraw ekonomicznych, finansowych, społecznych w narodzie zanika zupełnie. Gdy od 1770—1794 wydaliśmy przeszło 2,000 rozmaitych dzieł, broszur, traktatów, rozpraw gospodarczo-politycznych, od 1794 do 1807 r. literatura nasza ekonomiczna nie wzbogaciła się o pół setki nawet publikacyj odnośnych.

Lecz z 1807 rokiem, z powstaniem Księztwa Warszawskiego myśl nasza ekonomiczna budzi się do nowego życia. Na nowo podnosi ona hasła sejmu czteroletniego — odrodzenia narodu, podniesienia dobrobytu i bogactwa narodowego z przepaści, w jaką je wiek XVIII wtrącił, na wyżyny, na których się w czasie Zygmuntowskim znajdowały. Tak formułują wyraźnie cele polityki gospodarczej i społecznej najpierwsi nasi, owego czasu pisarze polityczno - ekonomiczni: Surowiecki i Węgrzecki. Zarówno też jak Kołłątaj i Staszic w epoce sejmu czteroletniego, tak i oni za Ks. Warszawskiego widzą odrodzenie narodu na polu gospodarczem w podniesieniu miast z upadku i uregulowaniu kwestyi włościańskiej *).

Są to pisarze o wiele mniejszej miary, niż byli przewódcy duchowi stronnictwa patryotycznego. Ani wielkiego w nich talentu nie widać, ani wielkiej samodzielności myśli. Niemniej przeto ich poglądy są jaśniejsze, konsekwentniejsze od toku idej Kołłątaja lub nawet Staszica. Ale bo też naród cały ogromnie w czasie tego dziesięciolecia dojrzał zarówno pod twardem panowaniem pruskiem, jak i kształcąc się w szkole urządzeń państwowych konsulatu i cesarstwa, z którymi losy swe dobrowolnie sprzęgnął. Idea Rzeczypospolitej szlacheckiej straciła wszelki kredyt wśród żywotniejszych elementów narodu, a z nią i fizyokratyzm — teoretyczno-ekonomiczny jej wyraz. Żądano silnej władzy rządowej, któraby energiczną swą działalnością wewnętrzną siłę narodu utrwalić mogła. Konstytucya nadana przez Napoleona — absolutyzm niemal ustanawiała. Nie słyszymy wszakże głosów skarżących się na to. Przeciwnie, powszechnie chwalono, że sejm nie będzie czasu tracił na bezpłodne rozprawy, wotując tylko projekta rządowe. Oczywista, że wobec tego, odrzucając fizyokratyzm, nie mogliśmy na wzór zachodnich narodów przyjąć jednocześnie idei liberalizmu ekonomicznego, który niemniej od tamtego był wolno - handlowy, a większym jeszcze tchnął indywidualizmem, gdy upadek fizyokratyzmu stanowił w Polsce reakcyę właśnie przeciwko wybujałemu do sobkostwa indywidualizmowi szlacheckiemu. Nastąpił więc u nas powrót do protekcyonistycznego industryalizmu, jaki w Polsce już w XV stuleciu istniał, lecz wedle kameralistycznych wzorów polityki gospodarczej Alberta i Fryderyka Wielkiego. Drogą przymusowych rozporządzeń postanowiono podnieść ekonomicznie naród. W tym celu zakazanym został wywoz licznych surowych produktów, mogących za materyał dla przemysłów krajowych służyć, a inny obłożony wysokiemi bardzo opłatami, jak również wwóz wszystkich wytworów przemysłowych, rząd sprowadzał z zagranicy rzemieślników, nadzielając ich ziemią z dóbr narodowych, uwalniając od podatków i służby wojskowej, lecz wkładając obowiązek kształcenia czeladzi z ludności miejscowej, prefekci po departamentach wzywali właścicieli opustoszałych realności miejskich do natychmiastowego objęcia w posiadanie swych domów, grożąc w przeciwnym razie sprzedaniem ich na rzecz skarbu, poszukiwali pilnie bogactw kopalnych, nadających się do eksploatacyi, a dla uratowania zrujnowanej przez kredyty pruskie własności ziemskiej król ogłosił moratoryum. Pomimo niebywałych ciężarów finansowych, jakie kraj, prócz podatków, szalone liwerunki w naturze płacący, ponosił — dla jednego np. powiatu Bydgoskiego wyniósł liwerunek 18 milionów złotych — 1812 rok zastał kraj zamożniejszym, niż był on 1807. Naród zaś cały, cała publicystyka sekundowały jednogłośnie rządowi Księztwa w tej jego polityce gospodarczej. Nie rozciągało się niestety jednak to współdziałanie opinii publicznej z rządem do kwestyi włościańskiej. Napoleon ogłosił w nadanej przez się Ks. Warszawskiemu konstytucyi osobistą wolność włościan, czyli zniósł raz na zawsze poddaństwo. Postanowienie to wszakże pozostawało martwą literą, póki trwał dawny pańszczyźniany stosunek chaty do dworu. Rząd wydał też natychmiast rozporządzenie, stwierdzające swobodę dowolnego przenoszenia się włościan czy to do miast, czy też do innych wsi, o ile wypełnili względem swego dziedzica powinności i wykażą przed wójtem — którym co prawda znów był dziedzic — że znajdą na nowem miejscu osiedlenia stałe zatrudnienie. Jednocześnie z tem wypracował rząd Ks. Warszawskiego ustawę dla zawierania umów dobrowolnych czy to na czynsz, czy na robociznę między dziedzicami a włościanami. Po zniesieniu bowiem poddaństwa, wszystkie z dawnego poddańczego stosunku wynikające powinności włościan prawnie ustawały. Umowy te miały być do dwóch lat wszędzie przeprowadzone. Prefekci i notaryusze otrzymali energiczne w tym względzie rozporządzenia. Gdzieby sam właściciel z dokonaniem umowy zwlekał, miał notaryusz sam na grunt zjeżdżać. Bierny lecz niemniej przeto wy-

*) Surowiecki Wawrzyniec: „Uwagi względem poddanych w Polsce 1807," tenże: „O upadku przemysłu i miast w Polsce 1810." Węgrzecki: „O profesiach i profesionistach."

trwały opór masy szlacheckiej zniweczył jednak te starania rządu.

Królestwo Polskie przejęło w dalszym ciągu wytknięte przez Księztwo Warszawskie zadania polityki ekonomicznej. I z wielu względów miało ono daleko łatwiejsze dla spełnienia ich warunki zewnętrzne, przedewszystkiem zaś długotrwały pokój oraz mniejsze na wojsko wydatki. Przytem Królestwo zastało już choć jakie takie początki przemysłu i górnictwa. Z drugiej strony wszakże brak był w kraju wszelkiego ruchomego kapitału, własność ziemska strasznie odłużona, wskutek trwania moratoryum olbrzymia drożyzna kredytu oraz z nowej prawno-państwowej sytuacyi kraju znaczne skrępowanie rządu w jego działaniach. Odrazu więc sprawa ekonomicznego rozwoju kraju złączyła się ściśle z kwestyą zniesienia moratoryum i uruchomienia kapitałów w wartości dóbr ziemskich zawartych. A że uruchomienie wartości ziemi jedynie drogą organizacyi kredytu rolnego było możliwem, więc interesa rolnictwa i przemysłu sprzęgły się w organiczną, oczywistą całość. Sejm 1818 r. wykazuje też niebywałą do owego czasu dbałość szlachty o interesa przemysłu. Obok żądania zniesienia moratoryum, założenia Towarzystwa kredytowego ziemskiego, pierwszy sejm Królestwa domagał się i energicznej akcyi protekcyjnej i założenia banku państwowego i nawet pewnych ulg w położeniu włościan. Co prawda, gdy załatwienie obydwu pierwszych postulatów, czysto ziemiańskich, zostało zapewnionem, gdy przytem wskutek paru lat pokoju i podniesienia staraniem rządu hodowli, szczególniej hodowli owiec, położenie własności rolnej znacznie się poczęło poprawiać, na następnych sejmach 1820, 1824 i 1830 r. widzimy znaczne oziębienie dla spraw przemysłu i włościan. Szczególniej partya kaliska silnie sarka na protekcyonizm. Zwrot ten w poglądach ekonomicznych nie dotknął wszakże ani rządu, ani ogółu inteligencyi. Rząd nie przestawał rozwijać coraz energiczniejszej działalności ku podniesieniu przemysłu. Zmienił on tylko, a raczej udoskonalił metodę postępowania. Już nie zakazami i nakazami, jak za Księztwa Warszawskiego, lecz popieraniem inicyatywy prywatnej i organizowaniem warunków produkcyi i zbytu stara się on przemysłowe siły kraju rozwinąć. Wydoskonaleniu polityki gospodarczej rządu towarzyszy stopniowe pogłębianie się ekonomicznej naszej literatury. Miejsce kameralistycznych czysto rozpraw, projektów i ich roztrząsań *) zajmują powoli naukowe zagadnień społeczno-gospodarczych badania. Społeczeństwo polskie, żyjące w ciągłych stosunkach duchowych z Francyą, już w samym początku XIX w. znało naukę Smitha i Saya. W 1810 r. ukazało się też streszczenie jej popularne Jana Znoski. Lecz zbyt gorączkowo żyło ono wówczas, aby czysta nauka umysł jego zaprzątać miała, a zbyt wyjątkowem było położenie kraju, aby praktyczni politycy w swych projektach reform na twierdzenia teoryi powoływać się mieli ochotę. Pojedyncze rozprawy teoretyczne, jak Ponińskiego: „Ekonomika polska 1808,“ Strojnowskiego spóźniona obrona fizyokratyzmu: „Ekonomika powszechna krajowa narodów 1816,“ Krysińskiego próby przeszczepienia na grunt polski liberalizmu francuskiego: „O ekonomii politycznej 1812,“ „O arytmetyce politycznej 1814“ nie wywołały żadnego w narodzie oddźwięku. Dopiero w trzeciem dziesięcioleciu ujawnia się powszechniejsze zagadnieniami nauki ekonomicznej zajęcie. Roczniki Towarzystwa przyjaciół nauk, Pamiętnika Warszawskiego, Izys polskiej, Astrei, Pamiętnika naukowego, Pamiętnika umiejętności naukowych i literackich pełne są rozpraw, dotyczących podstaw organizacyi społecznej, zasad bogactwa narodowego, przyczynowych między poszczególnemi sferami gospodarstwa narodowego stosunków oraz historyi ekonomicznych urządzeń obok oczywiście licznych w dalszym ciągu projektów i planów załatwienia kwestyi włościańskiej i ożywienia handlu i przemysłu. I wszystkie te rozprawy tchną jednym i tym samym duchem, którego klasyczny wyraz znajdujemy w systemie Skarbka: „Gospodarstwo narodowe 1821 i 1822.“ Jest to industryalizm, lecz nie kosmopolityczny — a narodowy, nie wolnohandlowy — jeno umiarkowanie protekcyonistyczny, i wspierający się na podstawie społeczno-narodowej etyki — a nie indywidualistycznego utylitaryzmu. Przejmuje on od liberalizmu zachodnio-europejskiego twierdzenia, że źródłem bogactwa jest praca, a bogactwo narodów — skupieniem bogactw jednostek, oraz że inicyatywa prywatna winna być jedynym bodźcem ekonomicznej działalności społeczeństwa. Lecz jednocześnie głosi obowiązek dla każdej jednostki kierowania się w swej społecznej działalności dobrem narodu, a nie rachubą egoistyczną, naród za istotę duchową moralną uznając, która interesy jednostki interesom ogółu podporządkowuje.

(D. n.).

Dr. Stanisław Grabski.

*) Szumski: „Myśli o polepszeniu handlu i rolnictwa 1811.“ Chrzucki: „System banku skombinowanego 1808.“ Bielski: „Sposoby do ocalenia majątków obywateli Ks. W. 1809,“ „Ułatwienie przeszkód systematowi kredytowemu 1810.“ Skórzewski: „Uwagi nad polepszeniem stanu włościan 1814.“ Sołtykiewicz: „O przyczynach nędzy naszych włościan.“ Radwański: „Myśli o wyprowadzeniu ludu ze stanu podległości“ itd.

LITERATURA I SZTUKA.

PUBLICYSTYKA POLSKA W WIEKU XIX

Odsyłając po bibliografię czasopism do dzieła Estreichera, postaram się tu nakreślić jaknajzwięźlej główne fazy ich rozwoju w wieku dopiero co ubiegłym.

Początek stulecia to dalszy ciąg tej głuchej ciszy, jaka u nas po r. 1795 zapanowała. Dzienniki na nędznym odbijane papierze wegietują tylko, wlokąc suchotnicze życie; a w niektórych wielkich miastach niema ich wcale. Przez lat parę na całej przestrzeni b. Rzeczypospolitej istnieje jedno tylko czasopismo literacko naukowe: *Nowy pamiętnik warszawski*, redagowany przez znanego tłomacza Iliady, Franciszka Ksawerego Dmochowskiego, pod względem języka i stylu poprawny, pod względem poglądów filozoficznych, społecznych i politycznych—bezbarwny. W r. 1805 przyłącza się do niego na bardzo krótko *Dziennik wileński*, wychodzący wbrew tytułowi, raz na miesiąc tylko, pod redakcyą trzech profesorów uniwersytetu, pomiędzy którymi znajdował się najznakomitszy wówczas nasz uczony, Jędrzej Śniadecki.

Od czasu utworzenia Księstwa Warszawskiego (1807), a następnie Królestwa Kongresowego (1815) ruch dziennikarski we właściwem znaczeniu wyrazu, ożywia się, sprawy krajowe wydostają się na plan pierwszy, wypowiadane bywają opinie o zagadnieniach politycznych i społecznych, między innymi o kwestyi chłopskiej i żydowskiej. Pod koniec r. 1818 pojawia się *Gazeta codzienna, narodowa i obca*, pierwszy u nas organ opozycyjny, broniący konstytucyi, posługujący się argumentami liberałów francuskich, jak Benjamin Constant. Trwa krótko, a jej dalsze ciągi pod rozmaitymi tytułami wydawane, coraz mniej śmiałe, ledwie dociągają do początków r. 1821, kiedy głos opozycyjny zamilknąć musiał na długo W tymże mniej więcej czasie ścichła walka między „obskurantami“ a „liberalnymi“, ciągnąca się w miesięcznikach (*Pamiętnik warszawski, Dziennik wileński, Miesięcznik połocki*), i tygodnikach (*Tygodnik wileński, Wanda*) od roku 1816, a przedstawiająca znamienny rys starcia się między bojownikami idei „wieku oświeconego“ a reakcyonistami.

Gdy prąd liberalny został zahamowany, znowu gazety i nader nieliczne wydawnictwa naukowo literackie cechowała bezbarwność, dopóki ożywiona walka klasyków z romantykami, rozpoczęta w Wilnie przez Jana Śniadeckiego, a podjęta w Warszawie przez Maurycego Mochnackiego i innych mniej głośnych zwolenników nowego w poezyi kierunku, nie dała nowego bodźca umysłom i nowego materyału nawet dziennikom. W tym kierunku zwróciła swą działalność *Gazeta polska*, a następnie *Kuryer polski*, które daleko żwawiej zajęły się propagowaniem nowego kierunku literackiego i zwalczaniem pseudoklasyków, aniżeli pismo miesięczne, sprawom literackim przeważnie poświęcone, p. t. *Dziennik warszawski*, odkąd ten został przez Mochnackiego opuszczony. We Lwowie, po krótkotrwałych a słabych próbach ożywienia ruchu przynajmniej literackiego, dopiero pismo zbiorowe *Haliczanin*, wydane w r. 1830, zarówno pod filozoficznym jak i literackim względem na trwalsze zasłużyło sobie wspomnienie, mieszcząc pierwsze prace tych, co niebawem mieli zająć w Galicyi bardzo wydatne i wpływowe stanowisko.

Rok 1831 był nadzwyczaj ożywiony i w publicystyce; w samej Warszawie wychodziło dwadzieścia kilka czasopism; potem nastąpiło paroletnie omdlenie, dopiero od r. 1834 nieco silniej zatętniło życie.

Ten r. 1834 stanowi początek drugiego okresu publicystyki, ciągnącego się do r. 1850. Zaznacza się on, tak samo jak co do ogółu literatury, rozłamem na dwie wielce odmienne części: emigracyjną i krajową. W emigracyjnej czasopisma, drukowane w Paryżu, Poitiers, Brukseli, Londynie, uwydatniały poglądy polityczne w dwu głównie kierunkach: demokratyczno-postępowym i arystokratyczno-klerykalnym; polemika zacięta o zasady wrzała tam burzliwie; wszystkie zaś inne kwestye są podporządkowane polityce. Kierunek demokratyczny ma najwymowniejszych przedstawicieli, jak: Wiktor Heltman, Jan Alcyato, Ludwik Mierosławski, T. Wiśniowski; on też najwięcej liczy zwolenników.

Kierunek arystokratyczny mógł rozporządzać większymi zasobami pieniężnymi, ale wybitnych talentów publicystycznych nie posiadał w tym okresie; stąd i pisma, w jego duchu wydawane, wpływu wielkiego nie miały. W kraju dziennikarstwo właściwe, choć liczebnie dość obfite, nie ma aż do r. 1848 żadnej barwy politycznej, ani społecznej. Część polityczna gazet jest prostym przekładem z gazet zagranicznych i to niektórych tylko, w duchu bardzo konserwatywnym trzymanych; o sprawach wewnętrznych informują one jedynie i to w sposób nader lakoniczny; zdań krytycznych o zagadnieniach najdonioślejszych nie wypowiadają wcale; nawet strona literacka jest w nich zaniedbana. Dopiero w r. 1848 gazety niektóre, mianowicie w Krakowie, Lwowie i Poznaniu, zajęły się, na bardzo krótko zresztą, palącemi kwestyami społecznemi w duchu przeważnie demokratycznym, niekiedy nawet radykalnym (*Jutrzenka, Postęp*).

Przed tym rokiem zarówno w wyliczonych miastach, jak i gdzieindziej, przekonania i poglądy polityczno-społeczne wypowiadały się w pismach literacko-naukowych, najprzód w Poznaniu, gdzie utwory emigracyjne najłatwiej krążyć mogły i gdzie ukazało się kilku znakomitych publicystów, mogących być chlubą każdego kraju, jak filozof Karol Libelt, jak historyk Jędrzej Moraczewski: oni to prowadzili w duchu demokratycznym, z cecią dla filozofii niemieckiej, takie pisma, jak: *Tygodnik literacki*, *Dziennik domowy*, *Rok*, *Gazeta polska* poznańska i inne. W Warszawie później, niż w Poznaniu, przejawił się podobny duch w *Przeglądzie naukowym*, dopóki go redagował wrzący entuzyasta, Edward Dembowski; we Lwowie zaś w *Dzienniku mód paryskich* za czasów redakcyi Jana Dobrzańskiego i Józefa Dzierzkowskiego. Liberalizm umiarkowany ma swoje organa w *Orędowniku naukowym* (Poznań), w *Bibliotece warszawskiej*, *Dwutygodniku naukowo-literackim* (Kraków), w *Atheneum* Kraszewskiego (Wilno). Przeciwko filozofii niemieckiej, a w celu ugruntowania zasad katolickich, na wzór ówczesnych filozofów francuskich, występował *Pielgrzym* Eleonory Ziemięckiej. Również katolicyzmowi, ale nie ultramontanizmowi poświęcony był *Przegląd poznański*, wydawany przez braci Koźmianów (Jana i Stanisława Egberta). Konserwatyzm religijno-szlachecki, z nauką rezygnacyi politycznej, szerzył *Tygodnik petersburski*, najwięcej liczący czytelników, a po części i zwolenników w guberniach Cesarstwa. Wywołał on atoli opozycyę, co prawda rychło stłumioną, a wyrażającą się w czasopiśmie zbiorowem p. t. *Gwiazda*. Poważna nauka znajduje krótkotrwały organ w *Kwartalniku naukowym* (Kraków).

Okres trzeci od 1850 do 1863 r. rozpoczyna się reakcyą polityczno-religijną, wyciskającą swe piętno na wszystkich utworach literackich i dziennikarskich. Zaniechano sporów o wyższość demokratycznego czy arystokratycznego hasła, starając się oprzeć na czemś pośredniem, na t. zw. „demokracyi szlacheckiej"; myśl niepodległa, filozofia niezależna od teologii nie znajdują przyjaciół wśród publicystów, poddających swą głowę i serce pod ochronę „tradycyi"; wielkie ideały zaczynają być spłaszczane i dopasowywane do miary przeciętnego obywatela; troska o podniesienie bytu materyalnego, w połączeniu z żądzą zabaw, dziwnie się kojarzą; poważne naukowe traktowanie kwestyi ustępuje miejsca lekkiemu, fejletonowemu sposobowi rozprawiania o wszystkiem. Ponieważ dyskusye polityczne są wykluczone, cała uwaga zwraca się na życie towarzyskie, artystyczne i literackie. Nigdy przedtem nie poświęcano tyle i tak wydatnego miejsca tej dziedzinie, jak wówczas. Pod koniec tego okresu kwestya włościańska, podniesiona przez Cesarza Aleksandra II, oraz wypadki polityczne we Włoszech rozbudzają na nowo rozprawy polityczno-społeczne i wprawiają umysły w ruch gorączkowy. Warszawa górowała i w tym okresie liczbą pism, ale najwięcej też była rozbawiona i najbardziej sprzyjała dyletantyzmowi we wszelkich kierunkach. Reformę dziennikarstwa przyznaje się tu Henrykowi hr. Rzewuskiemu, który z początkiem r. 1851 zaczął wydawać *Dziennik warszawski*, pragnąc go upodobnić do wielkich dzienników europejskich postarał się o korespondentów stałych w głównych ogniskach cywilizacyjnych; dbał o wiadomości pożyteczne z kraju dla ziemian, troszczył się o dobrze pisane sprawozdania naukowe, literackie i artystyczne, zaprowadził dowcipnie (na wzór Jules Janin'a) pisaną kronikę miejscową; w odcinku dawał powieści i rozprawy popularne. Temi reformami, łącznie z dbałością o styl, jeżeli nie piękny, to poprawny i gładki, pozyskał sobie dużo prenumeratorów, ale rychło ich utracił. Sądząc, że w dobie reakcyjnej będzie mógł swobodnie głosić swoje paradoksy religijno-polityczne, wydrukował w odcinku obszerną rozprawę pod tytułem „Cywilizacya i religia," drażniącą najdelikatniejsze uczucia społeczeństwa. Prenumeratorowie zaczęli odpadać. Skorzystała z tego *Gazeta warszawska*, najdawniejsza z istniejących u nas, zostająca pod redakcyą zdolnego i zabiegliwego dziennikarza, Antoniego Lesznowskiego, który zaprowadziwszy zmiany, jakie *Dziennik warszawski* uczynił już niezbędnemi, zapełniające odcinek poczytnemi powieściami, dając dowcipną „gwiazdkę" Aleksandra Niewiarowskiego, pociągnął ku sobie czytelników i uczynił swoją gazetę najpopularniejszą, aż do czasu, gdy Kraszewski, objąwszy redakcyę *Gazety codziennej* i przezwawszy ją *Gazetą polską*, urokiem swego imienia i poruszaniem kwestyj żywotnych, nie stanął do skutecznego współzawodnictwa, pozyskując niesłychaną do owego czasu liczbę 7,500 abonentów. W Krakowie *Czas*, założony w końcu r. 1848, mając wytrawnego polityka w osobie Maurycego Manna, a fejletonistę literackiego w osobie Lucyana Siemieńskiego, reprezentował w owych czasach umiarkowany konserwatyzm w sposób oględny, a w swoim miesięcznym „Dodatku" dawał miejsce poważnym i nieraz bardzo cennym rozprawom. *Przegląd poznański* w tym okresie stał się już nietylko katolickim, ale ultramontańskim organem. Najznakomitszem atoli pismem ówczesnem, najlepiej redagowanem i najżywotniejszem były *Wiadomości polskie*, wydawane w Paryżu od roku 1857 do 1860. Redagowali je nawróceni z radykałów konserwatyści: Waleryan Kalinka i Julian Klaczko, ale konserwatyści rozumni, nie odtrącający wzgardliwie nabytków cywilizacyjnych, pragnący „z żywymi naprzód iść," nie konserwujący ani głupoty, ani miernoty; jeden był wytrawnym znawcą swego narodu, nad którego dziejami już wtedy z powagą i smutkiem rozmyślał; drugi był świetnym stylistą, rzucającym gromy na płytkość, dyletantyzm, chęć bawienia się. Obaj niecierpieli bezmyślności i zaprzaństwa.

Wstępujemy w okres czwarty, najnowszy, ciągnący się od r. 1864. Odznacza się on rozszerzeniem i pogłębieniem świadomości polityczno-społecznej, oraz wielkiem zróżnicowaniem odcieni w zakresie przekonań i dążności. Co dawniej było właściwością niektórych tylko organów prasy, to staje się w ciągu tego okresu cechą naszej publicystyki wogóle. Wie ona, że ma dostarczać czytelnikom nietylko informacyj, ale także wpływać na wyrobienie opinii, zarówno co do całości zadań społecznych, jako też co do poszczególnych zagadnień życia. Co do całości zadań społecznych panowały przez czas długi w publicystyce tego okresu dwie główne myśli: 1) że program polityczno-społeczny powinien być wytworzony na miejscu, w kraju, nie zaś po za jego granicami; 2) że naczelną wskazówką tego programu ma być hasło pracy „organicznej," tj. hasło zużytkowania wszystkich zasobów materyalnych i sił duchowych, celem skierowania ich do podźwignięcia dobrobytu kraju pod każdym względem. Program ten budził początkowo opozycyę ze strony zwolenników zasad lub przywyknień dawniejszych, lecz niebawem pozyskał prawie powszechne uznanie, jako jedynie praktyczny, i dopiero od roku mniej więcej 1886 został ponownie zakwestyonowany przez radykalnych, śmiejących się z „organiczników," a jeszcze później, od r. 1897 przez modernistów, chcących się pozbyć wszelkich obowiązków społecznych, byleby ich „indywidualność" mogła się jaknajszerzej i jaknajswobodniej rozwijać.

W dobie godzenia się na program wspólny były wszakże znaczne różnice co do jego zabarwienia pod względem społecznym i filozoficznym. Trzy tu główne odłamy opinii zaznaczyć można: jedni ze względu na powszechną demokratyzacyę społeczeństw europejskich, na podstawie równości wobec prawa, poddając krytyce działalność szlachty, podnosili znaczenie żywiołu mieszczańskiego, jako już uświadomionego; drudzy stawali w obronie szlachty i arystokracyi, twierdząc, że, jak dawniej tak i teraz, szlachta jest najbardziej uzdolniona do inicyatywy; trzeci wreszcie za najpilniejszą potrzebę uznawali uświadomienie ludu. Pod względem filozoficznym zaś jedni byli za oddzieleniem sfery wiedzy od dziedziny wiary i częściowo przynajmniej szli w kierunku pozytywistycznym; drudzy kładli wiarę za podwalinę wszelkiego myślenia i działania; inni wreszcie, ze względu na lud, hamowali rozpędy rozumu indywidualnego, kazali się liczyć z istniejącym stanom pojęć i zwyczajów religijnych, pozostawiając zresztą jednostkom zupełną swobodę sumienia. Spory o te kwestye wypełniały bardzo długo łamy czasopism, a po części wypełniają je i dziś jeszcze, lubo nie z taką już gwałtownością jak dawniej. Przyczyną tego osłabienia tonu zdaje się z jednej strony niecierpliwość naszego temperamentu, wywołująca bolesne przekonanie o bezowocności walki w sprawie *realnej* przemiany stosunków, a z drugiej — wzmożenie się dążności przemysłowej w dziedzinie samego czasopiśmiennictwa, dążności, sprawiającej, że w działalności wielu publicystów nie o idee chodzi, ale o zdobycie możliwie największej cyfry prenumeratorów. Pierwsza przyczyna we własnem swem źródle znajdzie oddziaływanie, gdy się coraz bardziej przejmować będziemy prawdą, że brak widocznych skutków w układzie samych realnych stosunków nie dowodzi bezskuteczności siejby zdrowych poglądów; wszelkich bowiem przemian gruntem były przedewszystkiem myśl i uczucie; na usunięcie drugiej przyczyny może wpłynąć powolne, ale stateczne potęgowanie zasad etyki społecznej.

Niepodobna mi tutaj nawet w największem streszczeniu cieniować charakterystyki rozmaitych organów publicystycznych w przeciągu lat trzydziestu z górą; muszę poprzestać na rysach najgrubszych, a w dodatku nie mogę uwzględnić pewnych bardzo ważnych objawów.

W Galicyi i Wielkiem Księztwie Poznańskiem wrzała najgwałtowniejsza polemika. Zachowawcy mieli do swego rozporządzenia przedewszystkiem *Czas* i *Kuryer poznański*, a w drugim rzędzie *Przegląd polski*: liberalni i postępowi rożnych odcieni — naprzód *Gazetę narodową* i *Kraj* krakowski, potem *Dziennik polski*, wreszcie *Nową Reformę*, *Kuryer lwowski* i *Orędownik*, a w drugim rzędzie krótkotrwały *Przegląd społeczny*, a potem drugi *Przegląd*. Bojownikami najczęściej przemawiającymi byli z jednej strony: Stanisław Tarnowski i Stanisław Koźmian, a z drugiej Jan Lam, Tadeusz Romanowicz.

W Królestwie obozy miały raczej teoretyczne znaczenie; podkład filozoficzny i socyologiczny tutaj przemagał. Boje „młodej prasy" (*Przegląd tygodniowy*, *Opiekun domowy*, *Niwa* pierwotna, *Przyroda i przemysł*) z większością organów nietyle zachowawczych, ile mdło liberalnych, miały w swoim czasie rozgłos wielki, zanim się wytworzyły organa już nietylko polemicznie, lecz i pozytywnie stawiające i konsekwentnie przeprowadzające określony program czy to postępowy (*Nowiny*, *Prawda*, *Głos* pierwotny, *Ateneum*), czy konserwatywny (*Słowo*, *Niwa* późniejsza, *Biblioteka warszawska*). Postępowcy mieli najznakomitszego publicy-

stę w Aleksandrze Świętochowskim, umiarkowany liberalizm reprezentował Józef Kenig, społecznicy mieli rzeczników w Janie Popławskim i Józefie Potockim, konserwatyści — w hałaśliwym Teodorze Jeske Choińskim i w poważniejszym Ludwiku Górskim.

Piotr Chmielowski.

STULECIE PLASTYKI POLSKIEJ.

Wielkiego sfinksa — Sztukę, każdy naród rozumie inaczej lub też odmiennie zgaduje go instynktem, jeśli jeszcze świadomego pojmowania nie zdobył.

Mam to przeświadczenie, że dusza polska *zaczęła* odczuwać go najgłębiej i najrozleglej, więc może i najtrafniej. Pewność ta nie gruntuje się bynajmniej na rozumowaniach krytyki naszej, która nie wie, czego chce, nie posiada żadnego drogowskazu i zadawala się boleśnie skromną rolą: obwoływacza uznanych wielkości, albo szydercy tych, których wyszydzili artyści. Nie występuje nigdy ze zdaniem własnem. z tej prostej przyczyny, że go nie ma.

I nie płynie owa wiara moja z obłudy, pokrywającej chęć wkupienia się — tanim kosztem—w łaskę tych, dla których chwalić „wszystko co swojskie," chwalić małodusznie i uniżenie — jest to być wzorowym synem ziemi.

I wreszcie nie na tem się opieram, że dzieła plastyki polskiej wybiły się na najstromsze wyżyny geniuszu spółzawodniczących narodów. Nie odważyłbym się takiego twierdzenia bronić. Prawdziwych arcydzieł wyszło stąd bardzo niewiele, znacznie mniej, niż opiewa iluzya publiczna. Mistrzów, którzyby ogólną twórczość w malarstwie lub rzeźbie— o biednej pasierbicy architekturze nie mówiąc — nagle i na dłuższą chwilę rozjaśnili oślepiającym świtem, niepodobna prawie wskazać. Bogatych indywidualności, zmuszających krnąbrną gminę artystów w innych krajach do liczenia się z niemi, naśladowania, korzystania, bardzo niewiele. W najlepszym razie zdobywali swą ojczyznę — lecz nie podbijali świata, jak Meissonier, Bastien Lepage, Puvis de Chavanne, Rops, Klinger, Böcklin, Burne Jones. A choć nadawaliśmy bardzo szumne tytuły i nie żałowaliśmy koronacyj — wielka, wszechświatowa sztuka uznawała je tylko warunkowo.

Ale twór niedoskonały ma tak samo duchową swą przyrodę, jak najbardziej doskonały i uwieńczony sławą. Brak szczęścia i powodzenia nie przeszkadza mu mieć swego rdzennego jestestwa, z którego dałaby się wyczytać jego *zasada* i idea życia. Sztuka świata, to okazała cieplarnia, w której cudzoziemiec podziwia majestatyczne palmy i cedry: sztuka polska to las niesiany, w którym gospodaruje — właściwie tylko sama natura. Ale czyż to umniejsza w czemkolwiek wyrazistość jego istoty lub naprawdę utrudnia jego charakterystykę i zaciemnia jego *zasadę?*

Taka sztuka zapuszczona może być wcieleniem, wyrazem, wprawdzie bezładnym, ale mimo to wymownym i objawiającym, pewnej potężnie przyrodzonej intencyi, przeznaczenia, zapisanego w tajemnych księgach nadnatury. A w danym wypadku przeznaczenie to i cecha istotna plastyki polskiej uradowałyby może najwięcej sfinksa, gdyby sfinks chciał i umiał porzucać swą kamienną zagadkowość.

Umacnia w tem przekonaniu wielka i nie żałująca wyjaśnień prawodawczyni— poezya. I ona, ściśle i trzeźwo rzeczy biorąc, wyłoniła się w całym swym ogromie z mgławicy duszy polskiej dopiero w wieku dziewiętnastym. Zabłysła jak świetna konstelacya, której ogół i gwiazdy pojedyncze odczytywać można z łatwością. A wówczas uderza w niej jedna rzecz szczególnie: nadzwyczajna pełnia poetyckiego czucia.

Jeśli pominąć żyjących i trochę przygasłych, a wziąć tylko tych, co chwalą swą przeszli gröb: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Ujejskiego, Asnyka, okaże się, że umieli być artystami, nie czyniąc ujmy swej naturze patetycznej. Mowa, rzecz prosta, o patetyczności sonat i symfonij, o namaszczeniu wielkiego żalu i tęsknoty — nie o patosie, zbratanym z gromką retoryką. Wszyscy oni mieli w głębi tę lawę, której sto lat nie wyziębi („Dziady"), lawę płynącą z kraterów historyi. Żaden nie chciał uwalniać swej muzy od wielbłądzich juków chwili bieżącej. A jednak to nie krępowało ich dumnego lotu, lotu orła Zarathustry, mającego na szyi węża — symbol mądrości.

Ażeby u natchnienia kupić czyste, wysokie piękno harmonii, siłę wzruszenia, plastykę posągów, potęgę kolorytu — nie potrzebowali płacić hasłem „sztuki czystej," jak my, dzisiejsi, co bez tego czółna utonęlibyśmy — lub zdaje się nam, że utonęlibyśmy w powodzi własnych słów, prozy i wierszowanej publicystyki.

Ażeby nas czarować lub przerażać, nie wpuszczali do poematu — sztucznych djabłów i maryonetkowych duchów.

Ażeby zachwycać kunsztem formy, nie potrzebowali z dokładnością chemików strącać pierwiastków wszechludzkiego chcenia.

Były to skrzydła naturalne i niezawodne, zgoła nie Ikarowe. Dzisiejsze to właśnie są przylepione do ramion woskiem, który skoro przejdzie w sferę palącego słońca ideowej żądzy, wnet topnieje i sprowadza śmierć talentu.

Było to, słowem, najprzedziwniejsze zespolenie czystego artyzmu bez skazy ze szczytnością pożądań, więcej nawet: wymagań, nauk, przewodnictwa. Zespolenie jest w tem miejscu wyrazem od biedy — tam nie było zwykłej syntezy, lecz prawdopodobnie że jasnowidztwo zapalne wieku przenikało krew artystów i nerwy od samych narodzin, od kolebki. I przeto tragedye i sonety, Anhellowie, Irydyoni i Gustawowie, ich wszyscy bracia i siostry, byli zasadniczo z innego materyału i z tego tworzywa, które samo, bez pasów bezpieczeństwa dzisiejszej estetyki, dawało moc i sztukę przebywania bezmiarów i otchłani.

Ustrój duchowy znamionowało jakieś tło intensywnie muzyczne, które zmieniało na czysty śpiew każde odezwanie się duszy. A czynniki składowe tej wielce złożonej psychy były jakby doborowymi instrumentami, które pozwalały osiągać zarówno w mowie wiązanej, jak i w prozie poetyckiej, cały olśniewający, bogaty koloryt dzisiejszej instrumentacyi.

Gdzieindziej zjawiska podobne należą do wyjątków. Są to wyspy, które opływa morze żywiołu wprost odmiennego. A przytem, ilekroć daje się tam słyszeć akord gromowy uczucia, grom się wyrywa naprzód, a uczucie zagłuszone. A jeśli już udarzy się należyta harmonia, to w dramatach obcych sercu poety, nie płynących ze źródeł jego najwewnętrzniejszych. Pierwsze spotykamy u Wiktora Hugo, Byrona i nawet u Shelleya (wielki poemat: „Rokosz Islamu," „Królowa wieszczek" itp.), drugie u Goethego i Schillera, tj. u tych z wieku dziewiętnastego, których jedynie do porównania wziąć można.

I to trwa w Polsce młodej: u Kasprowicza, Wyspiańskiego („Warszawa," „Lelewel"), a potroszę i wszystkich innych, prócz najmłodszych, ale i u tych pewnie tylko do czasu, póki ton muzyczny uczucia nie zaokrągli się, nie uzupełni i nie wzmocni o tyle, że się nie będzie obawiał wtórować naprawdę Królowi-Duchowi, na którego dotąd pusto przysięga.

Jest to bowiem oczywisty układ artyzmu polskiego.

A w ten sposób z wyższych danych wywiódłszy jego przybliżone i niedokładne jeszcze określenie — obrzucę jego promykami plastykę polską w ubiegłem stuleciu. W tem świetle ukaże się ona również obdarowaną zawczasu pewnem usposobieniem fantastyczno-uczuciowem. I na czyjekolwiek dzieło z doby rozkwitu malarstwa polskiego spojrzymy, wszędzie się to sprawdzi: u Matejki, u Grottgera, Pruszkowskiego, Malczewskiego, Podkowińskiego, Gottlieba, Kamieńskiego i tych wszystkich, co nie podlegli przemożnemu wpływowi zagranicy.

Wyklucie się tego charakteru jest właśnie dziełem ostatnich lat kilkudziesięciu. W ten sposób są one jeśli nie wiekiem całym, to jego duszą i znamieniem. I w ten sposób jest to już nie pewien okres w rozwoju plastyki u nas, ale cała owa plastyka. Przedtem były tylko nieznaczne zarodki, zdrój sączył się, ale nie bił. Słusznie powiedział Boloz Antoniewicz w swym katalogu wystawy lwowskiej, że w epoce do r. 1795 kwitła „sztuka w Polsce," ale nie „sztuka polska." Dopiero w czasach od r. 1795 do 1855 przybywają tacy artyści większej miary, jak Smuglewicz, Orłowski i nadewszystko Piotr Michałowski.

Ale możnaby odważyć się na jeszcze większe uproszczenie i powiedzieć, że duchy sztuki włoskiej, francuskiej i holenderskiej pokutowały bez przeszkody nawet po Bacciarellim, Norblinie, Chodowieckim. Zamiana „rzymskiej togi na sukmanę i krakuskę" (tenże katalog) nie stanowiła jeszcze bynajmniej wyzwolin duszy artystycznej polskiej. Smuglewicz jest wybornym tłomaczem sztuki włoskiej na polską, ale nie twórcą. Orłowski — flamandzkiej, a może i Hogartha. Ale przygotowują już grunt pod przyszły krajobraz polski. Smuglewicz też i Suchodolski próbują brać temata swojskie—poetyckie. A Michałowski szeroko i ze spokojną powagą mistrza i miłością dla przedmiotu tworzy wspaniałe szkice, realistyczne typy, portrety, studya koni.

Rozumie się, iż możnaby wynaleźć bardzo liczne i znaczne talenty, stanowiące jakoby straż przednią sztuki wielkiej.

Nie brak stopni i przejść, ogniw pośrednich, łagodzących przeskok, po którego drugiej stronie stoją artyści z łaski bożej, samodzielni, indywidualni i swobodnie mocni w całej sferze malarstwa: Rodakowski, którego portrety tchną urokiem i spokojem zrównoważonych arcydzieł; Juliusz Kossak, którego dworskość i rycerskość jest obfita, wspaniała i ujmująca; niespożyty pionier dobrego rysunku, Gerson, i in. Ale choćby ich było nie wiem ilu, gwałtowność ocknienia się pozostanie faktem dobitnym. Plastyka polska weszła w siebie i stała się narodową dopiero od chwili zaszczepienia romantyzmu. Ogólny wschód fantazyi i uczucia w związku z podniecającym wpływem sztuki francuskiej, zrodziły — trudno rzec: odrodziły — szczere natchnienie. Matejko ogromem i liczbą dzieł swych był już całą szkołą: szkołą świątobliwego, kapłańskiego pojmowania sztuki. On wprowadził surowe pojęcie obowiązków względem niej na miejsce dawniejszego dyletantyzmu. On wyposażył sztukę *w dogmat:* siły, głębi i dostojeństwa. A współczesny z nim Grottger objawił, co może wdzięk, szlachetność bólu, czystość linij i jak można kształty uczynić melodyą, jak bezmierny żal oddzielać od czułostkowości, jak ducha i poezyę łzawych dolin wyrazić prosto, przeczysto i mocno.

To był więc niejako słup graniczny.

Ale sztuka, która się od niego zaczęła, nie kształtowała się znów tak bardzo we-

dług ducha Matejki i Grottgera. Oni stworzyli tchnienie wielkiego polotu, atmosferę wzniosłości zarówno w malarstwie, jak w rysunku. Są to najwybitniejsze awatary Króla-Ducha, ale zarazem jednostronne i niezdolne zaspokoić wszystkich jego żądz i umiłowań. Obszar twórczości musiał objąć wszystko: stepy, pola, knieje, typy, chaty, łany, zadumę, nastroje, elegie, wichury, Tatry, zamczyska, ruiny... Przyszedł ogromny, tęskny pejzaż Chełmońskiego, rozłogi ukraińskie Brandta, pustkowia jesienne czasu wojny i stare dęby soplicowskie Maksa Gierymskiego, sybirskie okrwawione zorzą północną pustynie śnieżne Pruszkowskiego i puszcza nieświeżka Fałata.

Teraz już plastyka polska dzieliła losy sztuki całej Europy, zawisła przeważnie od prądów w Paryżu i Monachium. Uciekała z pracowni na światło dnia, wnikała w duszę, słońce i naturę, śledząc wszystkie jej usposobienia i uczucia, tak jakby w niej zgadywała twór nadziemski, magnetyzujący swą nieuchwytnością i niewyczerpanem bogactwem scen, tonów i półtonów: mrocznych i promiennych, melancholijnych i pogodnych, pognębionych i radosnych, sierocych i zwycięzkich. Jednocześnie wwiercała się w duszę ludzką, mnożąc coraz bystrzejsze i subtelniejsze portrety. Jak z krajobrazów zaczęto usuwać przedmioty i stworzenia, ażeby niczem nie mącić czystego, wielkiego wyrazu przyrody, tak i uproszczono obrazy na figury, malując coraz mniej osób, a coraz więcej nastroju i psychy. I do dnia dzisiejszego trwa ten czyściec sztuki, w którym pozbywa się ona teatralnej wystawy, retoryki, rodzinnych czułostek, pozy, niekoniecznych dla ogólnej tonacyi otoczeń, ilustracyjnej dorywczości tematów i uporczywie zmierza do treści odświętnej, wyzbywa się rzeczy płaskich i bieżących, zacheeń praktycznych i utylitarnych, ciasnoty i nadmiernej określoności, prozy i bezducha.

Poziomość odpada jak łachman, banalność i schlebianie gustom jednodniowym przechodzi w dumną samowiedzę wyższości i szczytną prostotę kompozycyi, prostotę, która jest pięknem stopienia w jedno złożonych właśnie uczuć i wrażeń.

Bo prawdziwe dzieło sztuki jest jak oblicze wielkiego człowieka: szlachetnie proste, a jednak zmienne jak powierzchnia morza: faluje coraz to innym nurtem, wymyka się określeniu, wywołuje z dna duszy coraz inną jej głębię. Dzieła płytkie i obliczone na krótko mają dosadną, brutalną charakterystykę — wiecznotrwałość zaś, to zdolność objawiania coraz to innej warstwy swej intensywnej treści.

Do tego ideału sztuka polska wspina się powoli i mozolnie, wsparta na ramieniu twórczości międzynarodowej, ale przedewszystkiem mocna popędem własnej swej natury. Jeśli zbaczała w strefę artystycznego chłodu, to na krótko. Obrazy bezduszne i zimne cziła niedługo. Nawet wtedy, gdy się pyszniła, że jest tylko wirtuozem i majstrem techniki, Król-Duch namaszczał ją skrycie szlachetnym sentymentem.

Ale w tem miejscu należy uprzytomnić sobie dwie ważne chwile.

*

Pierwsza — to realizm. Zgubny dla miernot, które rozgrzeszał i uwalniał od obowiązku posiadania własnej jaźni, był surowem napomnieniem dla artystów rzetelnych: że przedewszystkiem należy umieć malować, mieć należytą technikę, rozumieć światło i co wszystko można przezeń wypowiedzieć, a wreszcie rozumieć naturę i podpatrywać wszystkie jej drgnienia. Niema nic boleśniejszego, jak malarz poetyzujący lecz niedołężny. Lepszy stokroć kopista krajobrazów bierny, lecz panujący nad kunsztem. Prawdę tę głosili wielkim czynem, a poniekąd słowem, Aleksander Gierymski, Witkiewicz, Chełmoński, Szymanowski i wielu innych. Im zaś samym realizm niewiele zaszkodził, przytłumił chwilowo to, co było podmiotową, twórczą osobowością, ale za to uczynił sumienie artystyczne wysoce drażliwem. Indywidualność nie omieszkała przebić ciasnej doktryny. I patrząc na tych samych malarzy, na epicko-monumentalne odtwarzanie pejzażów przez Gierymskiego i Witkiewicza, na niedościgłość i świeżość perspektyw Chełmońskiego, lub niespokojne oglądanie się Szymanowskiego za syntezą w sztuce — zapominamy, w jakiem gnieździe wzrośli.

Lecz, jak się rzekło, ogół sztuki ucierpiał srodze, a przytem powściągliwość w tematach u samych wodzów kierunku— ciężyła kajdanami na fantazyi i duchowej prężności. Stała się konieczną druga chwila przełomowa i ta przypadła już na ostatnie lata.

Z całym respektem dla mistrzów t. zw. realizmu, a właściwie nawet w sojuszu z nimi, zbuntowano się przeciw duchowi mieszczańskiemu w sztuce, przeciw okajdanianiu twórczości przez akademie. Niebywały rozrost plastyki w Europie zrodził mnóstwo szkół sztuk pięknych, a z niemi ucisk ze strony starszych i uznanych. Stopniowy wzrost plaskiej inteligencyi obniżył skalę wymagań i wygnał indywidualność na korzyść fabrycznego i rzemieślniczego traktowania obrazów i rzeźb.

Zjawia się t. zw. impresyonizm Podkowińskiego i Pankiewicza. Potem rozszerza swe znaczenie i dowodzi, że jest wogóle hasłem subjektywizmu bujnego, powrotem do patrzenia na rzeczy własnemi oczyma i wypowiadania samego siebie. Jest to ogromny przełom w technice, która staje się brawurową, szeroką jako rysunek i śmiałą jako koloryt. Zarazem wchodzą nowe pokłady i skarby treści, pękają więzy przesadnie okrągłej kompozycyi, która we Francyi ciąży odwiecznie, choćby nad takimi poetami niby-prostoty, jak Breton.

Walka toczy się zawzięta z nawałą burżuazyi warszawskiej. I dopiero w Krakowie zgrupowawszy się, sztuka nowa, niezależna, czysta i surowa, wybujała — odniosła świetne zwycięztwo. Jest to niby secesya polska — jej zapładniający wpływ na całą sztukę i literaturę — ogromny, epokowy. Nigdy tyle nazwisk świetnych— i świetnych, rzeczywistych talentów nie figurowało w jednym rzędzie: Chełmoński, Malczewski, Wyczółkowski, Pankiewicz, Stanisławski, Wyspiański, Mehoffer, Weiss, Aksentowicz, Fałat i wielu mniej znanych. To nie dyletanci z naiwną przewagą dobrych chęci nad techniką i dojrzałym smakiem, lecz najczęściej artyści, mierzący bardzo wysoko zarówno umiejętności, jak ambicyą.

Od tej pory sztuka polska stała się szczególnie europejską. A jednak nie zatraciła swej odrębności narodowej, swej tężyzny charakterystycznej, temperamentu, szerokiego odczucia natury, nerwowo-niespokojnych linij, fantastyczności, uczucia, rycerskiego rozmachu i trawiącej symboliki i melancholii. Trudno widzieć *szkołę polską* tam, gdzie wycisnęły swe piętno wszystkie prawie akademie sztuki, od Petersburga (Ruszczyc i kresowcy) aż do Rzymu (Siemiradzki, Weloński, Krudowski), ale niepodobna nie widzieć *sztuki narodowej*. Uderzająco niewielu zawinęło po błądzeniach do tej bezpiecznej przystani, którą jest bardziej łacińska pomnikowość lub galska finezya, i gdzie nad nerwami panuje stateczna i wytrawna wola (Gierymski, Pankiewicz). Wogólności zaś żywioł niepokoju, ruchu i pragnienia góruje nad równowagą.

Nad czar spokojny i dojrzały Wenus z Melos — sztuka polska woli, zdaje się, bardziej zmysłową, wymowną i fatalną Afrodytę, co z pian morskich się rodzi, ażeby być sprawczynią mąk najsroższych dla ludzkości (W. Tetmajer). I dlatego to pewnie najlepsze dzieła rzeźby naszej są gorączkowe i prawie bolesne: Gladyator idący w bój — Welońskiego, Mickiewicz — Kurzawy i grupy weltschmerzowe — Biegasa, który wybiegł daleko i wyprzedził o wiele staj wrzekomych pogromców klasycyzmu.

Koniec wieku zaznaczył się już nietylko sztuką, ale i estetyzmem. Rozkwitła ornamentyka nowożytna. Nie jest to tak zwana sztuka stosowana, nie, to coś znacznie wyższego — *czysta sztuka zdobnicza*. Nie usiłuje ona być wierną stylowi, lecz go stwarza. Bierze motywy dowolne i wyraża je liniami możliwie psychicznemi i wrażennemi, jednoczącemi w sobie szerokość, prostotę i drganie nastroju z pozorną improwizacyą konturów. Nie jest niczyim służką, do nikogo się nie stosuje, wypowiada, co chce, stała się szafarzem cennych okruchów chyżych i śmiałych indywidualności.

Oto dorywcza sylwetka plastyki polskiej, pochwycona w pochodzie jej przez stulecie. Gdy stanie Muzeum sztuki narodowej, utwory jej oddziaływać będą na te, co mają się narodzić i ustalą jej ducha zbiorowego.

Albowiem piękno najwybitniejszej nawet indywidualności potęguje się, gdy można ją postawić na tle duszy zbiorowej. Nie przez wzgląd na *ideę polityczną* narodu — lecz przez wzgląd na *ducha* jego. Dzieła sztuki winny być jakoby tonami i liniami arcydzieła w potędze drugiej — arcydzieła fantazyi wyższej, zbiorowej. Gdy na dnie spółzawodniczących geniuszów ściele się rys organizacyi wspólnej— natenczas przybywa im jakoby wyższa, łączna kompozycya, tem droższa, że bezwiedna i mimowolna.

Cezary Jellenta.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 5 Января 1901 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka